

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK II.

Łódź, dnia 14 października 1945 r.

Nr 12. (19)

JAN ALEKSANDER KRÓL

O POEZJI CHŁOPSKIEJ

Część 1-sza. — Przeciw żyznej tradycji

Jest rok 1945. W dziedzinie życia literackiego może on stać się i powinien datą historyczną. Pojawił się w tym roku termin „pisarz chłopski”, co uważamy za zdobycz demokratyczną.

Tym, którzy używają określenia „pisarz” bez przymiotnika, wystarcza krzątliwa rejestracja literatów ze względu na poziom artystyczny ich utworów.

Dla nas, którzy używamy określenia „pisarz chłopski”, sprawa narodowego pisarstwa nie kończy się na rejestracji i zarangowaniu. Pierwsze bowiem stanowisko pozostawia fakt pojawiania się literatów samemu życiu. Ilu, dlaczego, skąd, z jakiej tradycji wychodzą, to są sprawy, nad którymi zwolennicy pierwszego stanowiska nie panują. Oni tylko rejestrują „gotowych” poziomem.

A czasy są takie, które przynoszą podobno wyzolenie polityczne i gospodarcze warstwie chłopskiej. I demokratyzacja narodu zmierzać ma do wypełnienia treści tego życia przodującym udziałem klas pracujących. Znaczący to, że poza funkcjami, jakie dotąd klasy te pełniły, z ich mas mają wyjść świadomi potrzeb środowiskowych organizatorzy i twórcy polityki, gospodarki i kultury nowej Polski.

Jakże tedy ma być dla nas obojętną sprawa nie przywileju, ale obowiązku wprowadzenia w życie literackie narodu talentów chłopskich. Gdyby badania socjologiczne pokazały w przyszłych latach, że w dalszym ciągu luminarzami literatury polskiej są pogrobownicy ziemiaństwa i inteligencja miejska, i że ilościowo przylatująca większość z tych się rekrutuje środowisk — do smutnych musielibyśmy wówczas dojść wniosków, albo co do sensowności samej idei demokracji, albo co do jej urzeczywistnienia się.

Czytamy hasła wzywające robotników do wzmocnienia produkcji fabrycznej, chłopów do pełnego obsiewu, uważamy, że wcale nie wzywamy chłopów i do literackiej twórczości, bo obecne przemiany w Polsce polegają nie tylko na złuzowaniu politycznym i gospodarczym ziemiaństwa, ale również i — co najtrudniejsze — na złuzowaniu kulturalnym.

Kiedy przed wojną Francja liczyła 40 akademików, u nas było ich czterysta. Wyzwolenie sił twórczych największej klasy postawić nas dzisiaj może i powinno nie przed tradycyjnym procesem przenikania do oficjalnej literatury jednostek, jak to było od czasów Kasprowicza i Orkana, ale przed „najściem” — (koniecznym o demokracjo!) — całych zastępów pisarzy chłopskich.

Dlatego, kiedy my mówimy „pisarz chłopski” — myślimy wówczas: jakich potrzeb sprzyjających warunków społecznych, aby w Polsce demokratycznej dostarczyć twórców literackiej produkcji z upośledzonych dotąd mas?

Boryka się wieś z nędzą, z brakiem oświaty elementarnej, z brakiem ośrodków kulturalnych, z nie możliwością korzystania ze studiów wyższych, z brakiem bibliotek i życia literackiego (tu są przestrzenie, przeszerzenie... które dzieli) i wreszcie ze złymi i spóźnionymi tradycjami literackimi, co jak dotychczas jedynym jest spadkiem po mieście i dworze i jedynym ich śladem wkładu w rozwój pisarstwa chłopów.

**

Nad sprawą tradycji literackich, w jakich współczesni poeci chłopscy wzrastają, chcemy się w tym szkicu dłużej nieco zatrzymać.

Z grubsza biorąc jest ich trzy. Mamy tu na myśli wyłącznie te, które pochodzą z „narodowego repertuaru” klas wykształconych.

Pierwsza, wtarla się w wieś i za ludową niemal uchodzi: jest to poezja Konopnickiej, Lenartowicza i Kasprowicza.

Druga — zwykle przyswajana w czasie gimnazjalnej edukacji — klasyczna-ziemiańska.

Trzecia — u literatów-chłopów będących na studiach wyższych albo wpłatanych w wielkomiejskie centra życia literackiego — awangardowa.

**

Kiedy Maria Konopnicka stawiała „na progu nowej epoki”, chłop który też na tym progu stanął, był to chłop wyjątkowy... jakiś Maciej Szarek. Sytuacja osobliwa: pisarz chłopski, który nie śmie jeszcze sięgnąć przystole szlacheckiego pisarza filantropa. Odczytujemy tę sytuację z pamiętnika Szarka. Jakże ten dystans rozczuła — nie nas, dziś — ale wówczas tych, którzy chcieli go filantropijnie zmniejszyć.

„Otwórzcie wasze ramiona: to my — was szukamy, Bośmy może biedniejsi... ach! i bardziej smutni!”

Trzeba to powiedzieć wyraźnie: od Konopnickiej po Kasprowicza wieś staje się udanym medium, przez które wylewają się „tristia noctis taciturnae” (*) formującej się klasy inteligentkiej.

Najciemniejszą są to szlachcice „wysadzeni z siodła”, którzy na bruku miejskim po nieudanej rewolucji inteligentkiej, jak w Powstaniu Listopadowym, (literaci-jakobini: Godebski, Goszczyński, Lelewel, Mochnicki) uświadamiają sobie w czasach nadchodzącej cywilizacji przemysłowej i kapitalizmu własną rolę „najemników umysłowych”. Mówi o tym zaszyta w listach ironia Norwida, który uprasza utytułowanych o zakupienie u niego obrazów, a w międzyczasie drwa rąbie w Fontainebleau pod Paryżem.

Pokrewieństwo sytuacji — oto co zbliża Konopnicką do wsi. Łzy, które w tej poezji gęsto roszą wieś, są łzami wyłakany nad sobą. I wieś podlega rozczuleniu, a podlegała jej przed laty tym więcej im mniej było widoków na wyjście z nędzy i uciemnienia. Ale wieś stała zawsze w swej masie wobec zadania elementarnego: **wyżyć!** I wypełnić je mogła w formie bezpośredniej: pracy w ziemi i około ziemi; w pracy nad wytworzeniem wprost pożywienia. Olbrzymi wysiłek i olbrzymi czas, jakich ta praca wymagała, nie wiele zostawiała i zostawiała chwil na wzruszenia, tzn. na nie doprowadzone do skutku „działania”. W odwrotnej sytuacji społecznej znalazła się inteligencja. Tu praca umysłowa, humanistyczna, zapewnia byt pośrednio i jest nieustannym procesem samouświadamień.

Nie będziemy wyjaśniali powodów, chcemy tylko podkreślić fakt niesłychanego **shisteryzowania** tej poe-

MARIA KONOPNICKA

ZASZUMIAŁ LAS...

Zaszumiał las, zaszumiał las
Od placu mojej pieśni...
Po szczytach drzew, ruszył się śpiew.
Plaszkowie tkają leśni...

Zakipiał źródł, zakipiał źródł
Od tęsknot moich żaru,
I sine mgły i srebrne łzy
Rozbłyły w cieniach jaru...

Zerwał się wiatr, zerwał się wiatr,
Echem mych skarg zbudzony,
I powiał szum żalonych dum
W dalekie, cudze strony...

Uderzył dzwon, uderzył dzwon,
Jak serce me, na truogę,
A senny chat, gdzie lud, gdzie brat,
Rozbudzić dziś nie mogę!

zji, która dla ludu była pisana. Rozumiemy, że wówczas, „na progu nowej epoki”, obszerność zadań jakich wymagał postęp, przerastała możliwości tych, którzy sobie ją uświadomili. Stąd ten jaskółczy niepokój, potęgowany poczuciem podrzędności i bezradności klasy inteligentkiej. Ale fakt faktem. Na ekran wsi rzucono inteligentkie niepokoję, inteligentkie wzruszenia, to jest — nie dające się doprowadzić do skutku działania. Te zwichnięte działania, dla których jedynym wyrazem stały się **placz i rozkłikanie** się uważamy dziś za bardzo złą szkołę dla chłopów pisarza-literata i pisarza-społecznika.

Niejasność twórczej roli inteligencji wpisana została na konto wsi.

„Cości” mnie woła,
Cości z piersi zabiera mi duszę...

W górębym się rwał
Jak skowronek skrzydłami szarymi.

Z poznaniem wsi nie ma to nic wspólnego, ma natomiast wiele z żerowaniem na ówczesnej popularnej opinii o wsi, w której prymitywizm chłopski uchodził za tak wielki, że można o rozbudzeniu go mówić językiem bajki: dobrze, jeśli w ten głąz technię się jakąś magiczną moc poruszenia go „kajsi” i jak w nim echo odda chociażby „cości”. Wystarczy tyle — ale komu tyle wystarczyło? Filantropijnym opiekunom, którzy mieli główny kłopot ze swoją bezdziewiętnością i wtopili ją w krąg zadań społecznych epoki.

U Kasprowicza, poligloty, (władł dziewięcioma językami), piętrzą się wszystkie możliwe kultury świata od indyjskiej i chińskiej poczynając. W tej mieszaninie secesji stylów i treści — idzie o scenę dla dramatu duszy jednostki wyrwanej ze środowiska macierzystego i wprowadzonej awansem społecznym w klasę inteligencji, której przydział i miejsce w historii Narodu Polskiego są wciąż jeszcze nieokreślone.

Szare chaty! Nędzne chłopskie chaty!

Dziś wy dla mnie *wspomnień* skarb bogaty
Hej, Czy przyjdzie czas, co lzy te spłoszy?!

...„żeby wyszło naszych łez morze chyba cały świat zapalisz mój Boże”, wtóruje Konopnicka. Zrobią to **czasy, losy i Bóg** — taka nauka płynie z tej tradycji poetyckiej — ale nie chłop.

Jaka taka konkretność wsi u Tetmajera-poety rozplywa się już zupełnie. Po polach wędrują „osmętnice” i „samotne dusze”. Anioł Pański gra się po to, aby można było ukazać złą dolę człowieka w ogóle. I to jest inteligentki zaulek bezdziewiętności, z perspektywy którego zaciera się czasy, rasy, narody i klasy — pozostaje tylko: „człowiek”.

Będziemy surowi i powiemy, że ta istota człowieka, absorbująca poetów, których tradycja na wsi jeszcze żyje, stanowiła jedną z konkretnych postaci człowieka — właśnie członka, wytasowanej inteligentkiej klasy, a nagość i ubóstwo schematu tej postaci kłócać się z konkretnością i bogactwem życiorysów ludzi z innych środowisk, a w szczególności z ludowych — była i jest wciąż atutem w trwającej próbie narzucenia społeczeństwu tej skurczonej problematyki jako treści narodowych.

Schemat ten jest przejrzysty i... jak chcą nam wmówić — powszechny. Można sobie wyobrazić jakiś podstawowy, wspólny wszystkim ludziom zespół składników; z doświadczenia jednak wiemy, że nie z nim, ale z jego konkretyzacją mamy w każdym poszczególnym wypadku do czynienia; z człowiekiem z jakiegoś czasu, z jakiegoś środowiska, jakiegoś zawodu, jakiegoś wyglądu, stanu zdrowia, humoru i t.d. i to dopiero jest dla nas ważne.

A przy tym schemat „istoty człowieka”, który wiera z tej poezji nie budzi zaufania co do jego po-

(Dalszy ciąg na str. 2-iej)

O POEZJI CHŁOPIEJSKIEJ

(Dokończenie ze str. 1-ej)

wszechności. Człowiek bywa smutny, to prawda. Ale „rozplakanie się duszy” jako panujący stan — na to się już nie zgodzimy. To jest produkt historyczny. Mówi nam o sytuacji duchowej inteligencji przed 60 laty. Kanony „Młodej Polski”, w których obracał się i Kasprzowicz i Tetmajer — zakładały takie materiały treściowe, w którychby ów gest duchowej neurozy inteligencji mógł się jak w lustrze odbić. U Micińskiego były to ruiny minionych kultur, u Staffa w uskrótnionej postaci codzienne wiadomości, że...

„Zmarł nędzarz, nim ludzie go wsparli jawną...
Gdzieś pożar spopielił zagrodę wieśniaczą.
Spaliły się dzieci... Jak ludzie w krąg płaczą...”

Takie głosy przywoływano na pamięć, aby rozdrażnić i podsyć wewnętrzny stan bolesnego samo-upojenia.

„Ktoś dziś mnie opuścił w ten chmurny dzień słotny...
Kto? Nie wiem... ktoś odszedł i jestem samotny...”

Nostalgiczne przeżycia — których przyczyną jest „Ktoś” i sprawy, które się dzieją „gdzieś”, uważamy za skutek wyrafinowanych, bezdziejowych przeczuć i jeśli nazywa je obrona „metafizycznymi przeżyciami”, odpowiadamy — broń nas Boże od takiej metafizyki!

Omówiona wyżej tradycja poetycka została całkowicie przezwyciężona u tych poetów chłopskich, których czytelnik mógł poznać na łamach „Wiś”. Są to dziś poeci już nie folkloru, poeci całego narodu, choć zamiast gry na jednej żółtej strunie przy dowolnie rozkładanych elementach panoramy wiejskiej — dają bogatą wiązkę problemów właśnie skonkretyzowanych, jak nigdy dotąd, w materiale wiś.

Kiedy poezje Konopnickiej i Kasprzowicza stanowią dokument historyczny nie wiś, ale inteligencji, to ta poezja chłopska nie będąc już echem narzuconej problematyki inteligentnej, ona dopiero jest dokumentem historii wiś, historii z ostatnich jej lat.

Tam przy założeniu, że wypowiada się dusza człowieka, dawano upust bezkształtnej szarpaninie jednostki inteligentnej podobnie jak inne z tej klasy oderwanej od żywych sił narodu.

Tu, związek ze środowiskiem, wymiół z poezji ów żenujący liryzm autorski. Sprawy, stan rzeczy, wydarzenia — wszystko sprawdzalne bądź w doświadczeniu jednostki — bądź klasy chłopskiej, znalazło w nowej poezji swoich jakby członków-sekretarzy, sekretarzy gospodarstwa, gromady i całej warstwy chłopskiej.

Jeszcze na lata przed wojną pisał Nędza - Kubiniec:

„A gdy jesteśmy swojej doli cieśle
Ja zbuntowany chłop — plan jej kreślę...
Wyjdziemy wkrótce naprzód my niescy
Lecz nie głosować z demokracji gestem
A tylko nakształt w dół płynących lici
Usłyszysz gromów krzyk...”

A Jan Baranowicz w roku 1938 przepowiadał jasnowidząco:

„Obozem zagrzni ekonomiczny folwark...
Wicher w pańskim parku szumi poloneza
chamom, co w grzebną garść ujmą rząd...”

Paweł Kubisz ogłasza poemat o „Rebelii Goroli w Mostach”. Tworzy chłopską legendę o powstaniu gorali. Rzuca w nią współczesną świadomość warstwy chłopskiej. Wyposażyła w deliberację społeczną: chłopskiego sejmiku, gdzie sprawę przemiany społecznej stawia zbuntowany chłop na równi ze sprawą ojczyzny.

„W cysarski wojsko, naprzód gorole!
— — — — —
Świszczą karwaczę... krwim chłopie płacz...”

Twarda to mowa, gdzie jedyny płacz — strumień krwi wylany w walce. W imieniu wiś polskiej świadectwo tej prawdziwej złożyły Bataliony Chłopskie.

Jakże daleko jesteśmy od tych łez filantropów wylanych nad wsią i kraszących nimi lica niby przylgnęło wystruganych figurek Jasiów i Kaś gęsiarek.

Komuż to macie głowę sprawą człowieka w ogóle, człowieka — „osmętnicy”, kiedy gdzieś tam stary gospodarz Wójcik Stanisław z Lubelszczyzny w pasji chłopów i Polaka zapisuje surowo:

Na Węgry płocho, tanecznie
frunęła Polska... Czy wiecznie...?
— — — — —
Was nauczymy jak Polskę trzeba kochać
— gdy krzywdy jej...e my wyrównamy.

A młoda chłopka Irena Piecówna pisze:

— Chłopsy żołnierze! jakże wysławiać prawdę tej
— — — — —
prosta dziewczyna, trwożna dziewczyna pójdę z wami
— — — — —
zawdy!...

Dość przykładów, aby pokazać, że wieś może mówić w poezji sama za siebie i bardziej odpowiedzialnie, niż jej pierwsi pieśniarze-opiekunowie i dość ważnie, aby w literaturze narodowej otrzymać głos obowiązujący naród.

MACIEJ SZAREK

PAMIĘTNIK CHŁOPIEJSKIEGO
PANSZCZYŹNIANEGO

(III)

Pieniądże rzecz dobra, ani słowa, ale dla mnie w owych czasach książki stokroć były cenniejsze i pożądane. Wróciwszy do domu z flisu cieszyłem się też jak dzieciak, że mam tak znaczną liczbę książek u siebie. Ale, że to było w lecie, praca w polu i noce krótkie nie pozwoliły mi czytać ich, jak to było u mnie zwyczajem, że pochłaniałem zaraz każdą książkę, którą przyniosłem do domu, czytałem więc tylko w święto po nieśporach. Na tym powolnym czytaniu zeszło mi lato i nastała jesień.

Wolniejszy już od pracy poszedłem do Krakowa za interesem domowym i wziąłem ze sobą adres Kraszewskiego, który miałem z Warszawy. Będąc w Krakowie nie zapomniałem odwiedzić swego dobroczyńcę i nauczyciela pana Matejko. Opowiedziałem mu całą swoją historię w Warszawie i pokazałem adres Kraszewskiego, nad którym się pan Matejko bardzo zastanowił, ale zaraz objaśnił mi, kto jest ten Kraszewski, o czym wówczas nie jeszcze nie wiedziałem, i kazał mi zaraz do Kraszewskiego pisać. Ale uprosiłem go, aby mi adres na kopercie listowej napisał, upewniając go, że po powrocie do domu list sam sobie, nie zwlekając, napiszę.

Kilka dni zaledwie od mego pisania minęło, a już od Kraszewskiego list bardzo uprzejmy dostałem. Sam przeczytać go nie mogłem, ale pan Matejko mi go przeczytał. Gdy się dowiedziałem, co Kraszewski pisze w liście do mnie, łzy mi oczy zalały na tak czułe wyrazy, których nie czułem się godnym. Pan Matejko kazał mi ten list schować na pamiątkę, jako pochodzący od zasłużonego męża.

Więc kiedy błysła mi isierka oświaty w oczach trochę przez czytanie książek, a trochę za pomocą ludzi światłych, którym oświata ludu na sercu leży, postanowiłem częściej bywać w Krakowie, gdzie się zapoznałem z bardzo wieloma osobami, a nawet z młodzieżą akademicką. Ci ostatni tak byli dla mnie dobrzy jak własni bracia. Co tylko przeczytali różne gazety, które mieli u siebie w czytelni akademickiej, dawali mi je do domu na własność. Te gazety dużo wzbudzały we mnie dobrych chęci i coraz większe zamięłowanie do czytania różnych wiadomości i wypadków światowych. I tak bardzo rozmiłowałem się w czytaniu, że zapomniałem drugi list napisać do Kraszewskiego, który natedy nie z własnej woli, tylko na rozkaz moskiewskiego rządu za należenie do zabiegów patriotycznych, przedpowstańców przenosił swoją siedzibę z Warszawy do Dreżna. Ale sławny ten mąż nie czekał, aż będę pisał do niego i sam drugim z kolei serdecznym listem z Dreżna podał mi adres. Więc od tego czasu zawarła się korespondencja moja z Kraszewskim, która trwała aż do ostatniej chwili życia sławnego pisarza.

Gdy w roku 1863 wybuchło w Królestwie Polskim i na Litwie powstanie o wolność i niepodległość narodu naszego miałem i ja zaszczyt i szczęście utrzymywać częste stosunki z powstańcami. Zawdzięczałem to położeniu mego gruntu, ponieważ — jak wspominałem na początku — mieszkam z całym swym gospodarstwem nad korytem Wisły, o dwie mile drogi od granicy Królestwa Polskiego wprost na Baran. Owoż wiele osób z komitetu narodowego w Krakowie znało mnie, wiedziało w jakiej mieszkam okolicy i że tu za młodu trudniłem się rybołówstwem na Wiśle, więc wysyłali powstańców z Krakowa, ażeby ich przez Wisłę przeprowadzić i drogę im wskazać na Baran.

Czyniłem to wiele razy bez zaprzeczenia ze strony policji. Ale później Austria zaostrzyła swoje zęby przeciw powstaniu i stawiając się uprzejmą służebniczką Rosji szkodziła mi na każdym miejscu.

Z tych czasów najbardziej utkwił mi w pamięci jeden zwłaszcza dzień. Gdy Langiewicz dowódca opuścił swój oddział, przeszli jego ludzie w krakowskie i przybyli do wsi Kujawy, leżącej nad Wisłą naprzeciw gminy Brzegi, gdzie ja mieszkam i wołał, żebym ich na swej łódce przewiózł przez Wisłę. A było ich około 50 młodych ludzi i jedni prosili abym im wskazał drogę na Bochnię, a inni chcieli się dostać na Podgórze. Więc przewiozłem wszystkich po kolei na łódce i w dom swój przyjąłem ich mile, choć skromnie, bo czym chata bogata, tym rada. Wypoczęli więc sobie u mnie od 8-mej z rana do 3-ciej po południu, bez żadnej przeszkody ze strony policji. Tymczasem sąsiedzi moi zgromadzili się w znacznej liczbie około domu i mówili: „U Macieja są Polacy”, bo natedy nie wiedzieli jeszcze chłopci, jakim są narodem, nie wiedzieli oni natedy, za co to ich bracia krew przelewają, nie wiedzieli, że to była walka za wolność ludu. Dziś czasy się zmieniły na szczęście, dziś włościanie wiedzą, za co się ich bracia bili z Moskalami, dziś już nie powiedzą na nikogo, że to są Polacy, bo wiedzą z radością i dumą, że oni sami są Polakami.

Gdy jednak młodzi powstańcy usłyszeli, że ich sąsiedzi moi nazywają Polakami i powstańcami, poczęli się lękać. Ale uspokoiłem ich natychmiast, mówiąc: „Nie bójcie się, panowie, bo wam tu ani włos z głowy nie spadnie przez moich sąsiadów. Jest to lud bardzo poczciwy, a jeżeli on to mówi, to z przyczyny swojej ciemnoty. Jakoż prawdziwie nic złego im się nie stało i po kilkugodzinnym u mnie odpoczynku jedni odeszli, inni zaś odjechali spokojnie. Gdy na trzeci dzień dowiedziało się policja o tej wizycie powstańców w mojej chałupie, zaraz przysłała do mnie na rewizję z powiatu Wielickiego dwóch urzędników i trzech żołnierzy strzelców. Panowie ci przeszukali każdy kąt, przetrzęśli wszystkie sprzęty domowe, ale nic nie znaleźli, bo to, czego szukali, nie było na środku stołu. Zabrali więc ze sobą do powiatu tylko trzy książki, które później oddali.

Wezwano mnie jednak, abym na drugi dzień stanął do protokołu przed naczelnika pana Janickiego tej rangi, co teraz starosta. Ów pyta się mnie:

— Ty przewoziłeś przez Wisłę powstańców?

— Ja, panie, przewożę różnych ludzi, odpowiadam, a ci płacą mi za to po dwa krajczary od osoby. A co on jest i gdzie idzie, o to ja się nie pytam.

— Jeżeli nie znasz człowieka, którego przewożysz — mówi pan naczelnik — masz obowiązek zapytać go dokąd idzie.

— Proszę pana — odpowiadam — wszak ja płacę podatki na utrzymanie porządku w kraju, to ta sprawa należy do policji a nie do mnie.

— Czytasz zapewne gazety, co? — pyta się pan naczelnik.

— A czytam, proszę pana — mówię — bo chcę się dowiedzieć, co się w świecie dzieje.

— A co ciebie świat obchodzi? Ty jesteś chłop, więc patrzaj sobie pluga, kosa i widel, a nie gazet i świata! Co tam zakupało w sercu, to zakupało na te wzgardliwe słowa, ale odpowiedziałem grzecznie: „proszę pana, nam chłopom tak samo jak i panu wolno dziś-uczyć się w szkole”.

Po wielu i bardzo wielu innych zapytaniach i odpowiedziach uwolniono mnie całkiem od kozy, ale spotkała mnie dotkliwa kara materialna, bo pan naczelnik dał polecenie do wójta gminy naszej Brzegi, aby łódkę moją wynieść z Wisły na brzeg i zamknąć do grubego drzewa a klucz zatrzymać w urzędzie gminnym. Tym sposobem przewóz został mi wzbroniony, bo wójt rozkaz wykonać musiał i łódka przez cały rok była zamknięta. Poniosłem stąd podwójną szkodę: raz, że nie rybowałem przez ten czas, a po drugie, że łódka całkiem zniszczała od słońca i deszczu.

Może myślisz kaskawy czytelniku, że przez ten czas, tak niepokojący dla mnie utraciłem zamięłowanie do czytania? Bynajmniej. Stokroć nawet większego nabrałem, bo wtedy nie tylko książki, ale już i gazety czytałem. A gdy napisał list do pana Kraszewskiego o tym wszystkim, co się ze mną dzieje i co się już stało, odpowiedział pan Kraszewski w te słowa: „Wytrwaj w czynach twoich dla Ojczyzny i narodu twego aż do końca, a sława twoja tym większa będzie jako chłop polski”.

Więc na tak miłą odpowiedź pana Kraszewskiego zapragnąłem mieć najwięcej wszelkiej wiadomości tak ze świata, jako i z literatury i w tym celu poznałem się osobiście z różnymi osobami wyższych stanów. A gdy natedy zaczął wychodzić dziennik w Krakowie pt. „Kraj” poznałem się i z redaktorami tegoż dziennika, panami Władysławem Sabowskim i Anczycem, którzy dziennik swój przez czas krótki wychodzący, bezpłatnie mi przysyłali.

Więc ja nabrałem śmiałości i napisałem do owego dziennika pierwszy, a później drugi artykuł. Ale niestety oba te artykuły były niezdatne do umieszczenia w owym dzienniku, aż napisałem trzeci, a ten był z poprawkami umieszczony. W tym samym czasie zaczął wydawać pan Kraszewski w Dreźnie tygodnik w języku polskim pt. „Tydzień” i także przysłał mi go bezpłatnie, a ja rozmiłowałem się bez granic w czytaniu owych czasopism i poczęłem przemysliwać, żeby to można co napisać do owego tygodnika do Dreżna. Zdobyłem się nareszcie na artykuł z życia ludu, a pan Kraszewski bardzo się uradował tym artykułem i takowy z małymi poprawkami umieścił. Więc byłem tym bardzo ucieszony, że mój artykuł pan Kraszewski ogłosił w swej gazecie, a potem ośmieliłem się częściej pisywać do innych gazet ludowych, które wtedy wychodziły w Krakowie, jako to „Zgoda” i „Włościanin”, do których już poprzednio parę razy pisałem.

(dalszy ciąg nastąpi)

STEFAN LICHANŃSKI

PROSTOWANIE DRÓG

W porównaniu z okresem po pierwszej wojnie światowej życie kulturalne i literackie rozwija się u nas w tej chwili dziwnie ospale i niemrawo. Czy przyczyną tego jest brak talentów, które potrafiłyby tak wyrazić nastroj swoich czasów, jak np. Tuwim czy Lechoń, tak reprezentacyjni pisarze tamtego okresu? Czy może brak atmosfery zainteresowania i życzliwości ze strony społeczeństwa? Czym wytłumaczyć kompletny brak jakichkolwiek ambitniejszych poszukiwań nowatorskich i wzrost tendencji artystycznie wstecznych (nawrót do przezwyciężonej już przed wojną ideologii artystycznej „Skamandra”, wyrzekania się przez wielu poetów tradycji Awan-gardu).

Działają tu oczywiście wiele przyczyn i trudno zdać sobie sprawę dokładnie z zasięgu i nasilenia wpływów każdej z nich. Jedną jest niewątpliwie śmierć szeregu wybitnych literatów (Irzykowski, Czechowicz, Witkiewicz, Kaden, Sieroszewski, Schulz — z młodszych: Stachowski, Fryde, Rogowski, Hollender i tylu innych) oraz brak ścisłego kontaktu z krajem pisarzy emigracyjnych. Sprawa chyba jeszcze ważniejszą jest wstrząs moralny, jaki przeżyło społeczeństwo nasze w wyniku wojny. Ta wojna uświadomiła nas dopiero, ile jeszcze czysto zwierzęcego bestialstwa tkwi w człowieku, jak mało oddalił się on od swoich jaskiniowych przodków. Spowodowało to wzrost nieufności do kultury europejskiej, która okazała się tak słabym i zawodnym hamulcem dla ludzkiej bestii, oraz rozbudziło nastroj lęku i niepewności, tak charakterystyczny dla naszych czasów.

Ta powojenna psychoza lękowa zaciążyła również nad literaturą polską, zaciążyła nad psychiką intelektualistów i artystów. Proszę, jeżeli oczywiście ktoś dysponuje sporą ilością wolnego czasu, przeczytać uważnie komplety „Kuznicy” i „Tygodnika Powszechnego”. Są to pisma o ideologii biegunowo różnej, a jednak klimat duchowy, z którego wyrasta publicystyka obu tych pism jest bardzo pokrewny. W „Kuznicy” straszy upiór hitleryzmu, groza możliwości powrotu tej zmary, pod której potwornym uciskiem przeryliśmy sześć najczarniejszych (jak do tychczas) lat dwudziestego wieku. W „Tygodniku” z poza wszystkich niemal artykułów a nawet felietonów, pisanych nawet na najbardziej „literackie” i od spraw życia bieżącego nader odległe tematy, wзира ustawiczny lęk, czy też nasza demokracja nie przechyli się znowu za lewo, czy przypadkiem — broń Boże... Tu przerwyjmy, bo względy delikatności nakazują powstrzymanie się przed wypowiedzeniem słów, które, aczkolwiek tajone w najskrytszych zwojach mózgu, płoszą sen z powiek pobożnych kano-ników i profesorów pisujących do krakowskiego tygodnika.

Czy groza, która minęła przed paru zaledwie miesiącami, może powrócić? Zapewne. Dzięki wojnie zorientowaliśmy się dobrze, jak cieniutka jest ściana, która dzieli w człowieku oświeconego Europejczyka XX-tego wieku od jaskiniowego dzikusa. Mamy powody do strachu. Niewątpliwie. Ale strach jest złym doradcą. Strach albo paraliżuje człowieka i czyni go bezwonnym niedołęgą, albo też podnieca go do działalności wręcz nieobliczalnej. Wyzwolony latami wojny chaos najbardziej prymitywnych impulsów kipi w każdym z nas i może przełamać lada moment zapórę woli i rozsądku. A wtedy grozi recydywa dopiero co minionej choroby.

Może niejednemu wydać się to niedorzeczne albo i wręcz potworne, ale wiele przemawia za tym, że gdyby odwet na Niemcach — bodaj krótkotrwały — wykonany został przy zastosowaniu hitlerowskich metod, rozładowałoby to może napięcie kompleksów nienawiści, zemsty, strachu, które dotąd wywierają wpływ na życie psychiczne ogromnej większości współczesnych. Jako chrześcijanin i demokrat nie myślę oczywiście propagować podobnych metod lecznictwa; sprawę stawiam dlatego w tak jaskrawy sposób, by jak najwyraźniej wykazać chorobowy stan psychiki zbiorowej, stan, który musi zostać przezwyciężony, jeżeli Europa nie ma zginąć w katastrofie jeszcze potworniejszej niż ta, którą przeżyliśmy ostatnio.

Tymczasem poszczególne grupy zdolne do wywierania wpływu ideologicznego na społeczeństwo szukają dróg innych: chcą chronić się za barierą ałf fizycznych i przepisów prawnych przed niebezpieczeństwem. Ale siła zawsze może zetknąć się z siłą potężniejszą, co zaś do prawa — to praktyka hitlerowska wykazała dokładnie, czym może stać się instrument prawa w rękach zbrodniarza. Grozi nam niebezpieczeństwo, przed którym nie ocali ani armia, ani ilość mandatów poselskich naszej partii w sejmie, ani najbardziej po naszej myśli idące ustawodawstwo prawne. Niebezpieczeństwo tkwi bowiem w nas i je-

żeli tam go nie przezwyciężymy, jeżeli nie oczyścimy naszego wnętrza z pozostałości wojennego chaosu, trwożąca nas zmara nie ustąpi.

Lęk i wzajemna nieufność — oto dziedzictwo, jakie nam pozostawił hitlerizm. I nierozładowane napięcie wrogości, które — o ile nie zdołamy go zlikwidować przy pomocy rozsądnego lecznictwa — zwrócić się może przeciw najbliższemu z bliźnich, z którym będziemy mieć na pieńku.

Istnieją tendencje, by rzeczywistość polską rozparcelować między dwie wrogie sobie doktryny, z których jedną reprezentuje „Kuznica”, drugą „Tygodnik Powszechny”. Zaostrzenie konfliktu ideologicznego między wyznawcami tych dwu sprzecznych doktryn było o tyle cenne, że pozwoliło grupom o ideologiach odmiennych zorientować się w niebezpieczeństwach, jakimi groziłoby rozpowszechnienie się mniemania, że konieczny jest wybór między dwoma wykluczającymi się wzajemnie możliwościami. Dla społeczeństwa tak potwornie zrujnowanego jak nasze, stojącego wobec tak ciężkich zadań rozdarcie na dwa zwalczające się zaciekle obozy byłoby wysoce niebezpieczne.

Dla całej Europy drogą do wyjścia z obecnego kryzysu jest przezwyciężenie psychicznych skutków wojny. Przezwyciężenie to polegać musi na obudzeniu i wykorzystaniu tych wszystkich impulsów, które skłaniają ludzi do solidarności i współpracy, a na opanowanie impulsów niszczycielskich i antyspołecznych. „Stosunek nasz do tych, których kochamy, można śmiało pozostawić instynktowi; tym, co powinno być poddane kontroli rozumu, jest nasz stosunek do tych, których nienawidzimy”. — mówi Bertrand Russell w „Skizach sceptycznych”. W momencie obecnym odwołać się trzeba przede wszystkim do tego, co nas łączy, a nie do tego, co nas dzieli. Nigdy jeszcze w życiu naszym nie było potrzeba tyle racjonalizmu, tyle dobrej woli i tyle życzliwości dla ludzi, co dzisiaj.

LISTY DO MŁODEGO POETY (III)

Ach, nie zrozumiałeś mnie dokładnie. Wzmiankując o Twojej powieści, nie chciałem narzucać ci jakiegokolwiek sugestii co do układu dzieła. Szczegółowe wypisy, co chcesz poruszyć, postaci autentyczne i zmyślone, jakie wprowadzasz, — to wszystko świadczy, że właściwie znasz epokę nie równie ode mnie lepiej.

Mnie chodzi o to tylko, byś klasy społeczne ówczesne, starał się ująć obiektywnie, epicko — byś rozróżnił, że wieś tamta, to niejednolita bryła ludzka, ale państwo klasowe z licznymi kastami.

A więc formale i wolarze, pracujący na folwarkach, to był rodzaj niewolników, do których nawet trzymorgowy chłop odnosił się z wyższością i pogardą. W koleżności społecznej szli następnie komornicy i małorolni, którzy zarabiali na dworach, lub co częściej się zdarzało, emigrowali w poszukiwaniu pracy, — dalej masa średniaków, wreszcie kulaństwo, bogacze wiejscy.

Na tym obfitym tle zaś indywidual: przeróżni urzędnicy i obrzędownicy — wójt, pisarz gminny, nauczyciel, organista, kościelny, ksiądz, karbowy ze dworu, retman flisaczy, wreszcie pierwsi robotnicy sezonowi powracający z Ameryki, pierwsi chłopcy uczący się po gimnazjach, no i pierwsi literaci.

Poeta wiejski zresztą w owych czasach to był poważnie świętek, prostaczek, ktoś, kogo się prowadziło w najwężej laurce na uroczystości patriotyczne, kogo się jak osiołka rzewnego przyjmowało nawet po dworach i dawało mu ochlap pochwalny w przemówieniach (Kuraś, Wiącek, Słomka). Nie brakło wśród tych początkujących pisarzy jednak i nosicieli szerokiej myśli rewolucyjnej — pamiętaj o tym.

Słomka, to był moim zdaniem chłop stateczny, rozważny, nie bez chętności zresztą, który uprządkował wie-rzył, że zamek i kościół to rzeczy święte, wyższe nad resztą, ale i potrafił z tego wyciągać korzyści, politykował nie źle w zakresie swoich przekonań.

Ferdynand Kuraś to przeciwnie, dusza nawakroś poetyczna, uczuciowa. Płakał rzewnymi łzami, gdy czytał Konopnicką, Mickiewicza, czy Syrokomlę, płakał również, gdy znalazł się w Krakowie przypadkiem i własnymi oczyma oglądał pomniki przeszłości narodowej, o których przedtem czytał.

Co do mojego stryja Franciszka, to właściwie działalność jego, nawakroś rewolucyjna zresztą, odnosiła się raczej do terenu Krakowa, gdzie ogłaszał swoje artykuły publicystyczne i wiersze stosowane w „Prawie Ludu”, tygodniku socjalistycznym Kłemeniewiczza.

Klasowe państwo wiejskie żyło oczywiście przeróżnie — była tam i zbrodnia, było nieszczęście, ale i była sielanka. Powietrze z zamku hrabiowskiego, z dworów szlacheckich rzuciło na tamten świat banie fajerków od czasu do czasu, aby i lud „ukochany” ko-

Atmosfera wojny wszystkich przeciw wszystkim jest dziś wysoce niebezpieczna. Zbyt sprzyja ona bowiem plenieniu się tych wszystkich wypaczeń psychicznych, które w interesie ogólnego dobra powinny być jak najrychlej likwidowane. Czytając zaś obecną publicystykę literacką widzi się, że pisarze daleko więcej energii i zapału poświęcają zwalczaniu cudzych stanowisk niż uzasadnianiu własnych.

Pierwszą i najbardziej podstawową zasadą demokracji jest szacunek dla człowieka, a więc również dla jego myśli. Demokracja, aby nie uległa wypaczeniu, musi być oparta na zasadniczo pozytywnym i życzliwym stosunku człowieka do człowieka. Wyzwolenie od zmór czasu wojennego może nam dać tylko usilna i w atmosferze wzajemnego zaufania odbywająca się współpraca, w której ewentualne różnice poglądów nie będą traktowane jako zapory niemożliwe do przezwyciężenia. Nikt nie posiada monopolu na prawdę, nikt nie ma prawa do narzucania swojej ideologii jako jedynie obowiązującej. Nie dajmy się opętać kompleksowi kamienia fioloficznego, najwęż wierze w możliwość znalezienia formuły określającej rzeczywistość w sposób ostateczny i nieodwołalny. Za tymi tęsknotami do ostatecznej, metafizycznej niemal pewności kryje się bowiem z reguły trwoga i niepewność. Atmosfera zaś bezwzględnej walki wyolbrzymia wzajemną międzyludzką niechęć we wrogość, zapal ideologiczny przemienia w fanatyzm, a wiarę w słuszność swojej sprawy w zaślepienie.

Piekiło hitlerowskie zostało zniszczone, ale pobyt w nim odcisnął trwałe ślady na psychice współczesnych. Nic nie pomoże choremu najlepszy lekarz, o ile chory nie chce się leczyć. Trzeba sobie uświadomić trwającą w nas wciąż psychozę lęku i nieufności. Bez jej usunięcia bowiem nie potrafimy osiągnąć rzeczowego i spokojnego stosunku do spraw współczesności i nie zdołamy wyzwolić w pełni energii twórczej społeczeństwa.

rzystal z piękna. Intrzygi zakrystii i karczmny wyznaczały, niezależnie od wszystkiego, nieuchronny kierunek życia. Nagle Wojna Światowa 1914 roku — nowe światła, wreszcie dąbalowszczyzna...

W tym dzisiaj jednym z najbardziej prawicowych, czy centrowych powiatów — o ironio historii — zapowiadało się na rewolucję, była już republika!... (Republika zresztą jakaś komiczna, niedojrzała, saska).

Ile ty lat musisz pracować nad tą powieścią? — z pięć może. Ale nie zrażaj się — to będzie dzieło, co może przetrwać.

Nawiasem mówiąc, przychodzi mi na myśl, że właściwie twórczość poetów i pisarzy pochodzenia chłopackiego jest w sensie narodowym jeszcze jak skromna. No, jest, jeśli idzie o poezję — Kasprówicz, Przyboś w naszym pokoleniu — z powieści zaś Reymont ze swoją wielką epopeją i Orkan z realistyczną, filozofującą z lekką prozą — i tyle!... Współczesnym zaś jakby brakło rozmachu. Radują się swoją domową nutą, nie chcą sięgnąć do problemów ogólnonarodowych. Co tu gadać — z wyjątkiem może Przybosia my wszyscy nie jesteśmy tak świetnie przygotowani literacko jak tamci — Kasprówicz i Orkan.

Sztuka literatów, chłopów, musi ogarniać temat jak najszerzej — wtedy będzie dopiero można powiedzieć, że spełniła swoje zadanie.

Na nas leży obowiązek pracy, pracy — realizowania siebie jako pisarzy w 100% a nie w 25. Tymczasem co się dzieje? Najwięcej utalentowani, o których nam chodzi, jakoś tak z polską poprzestają na wygodnym patrzeniu w niebo i oczekiwaniu lepszych czasów zamiast pisać.

Powiesz, że ja się unoszę, że po prostu dziś brakuje talentów tej miary, co było za czasów Kasprówicza. Choćby i tak było, tym większa odpowiedzialność leży na was młodych, liczących 20, 22 i 25 lat. Czekajcie was tematów moc.

Rok 1846 — pańszczyzna i zniesienie pańszczyzny w zaborze austriackim — rok 1863, powstanie i czasy zniesienia pańszczyzny w Kongresówce, chłop w okresie pierwszej Wojny Światowej, wreszcie ostatnia wojna z jej największymi czynami i reformami, jeśli idzie o życie wsi polskiej.

Tak, do urzeczywistnienia tych planów trzeba nauki i wielkiego doświadczenia. Mickiewicz powiedział kiedyś, że poeta wszystko poznać powinien, co napisane zostało przed nim, nie dość winien przemysleć to i wyciągnąć dla siebie wnioski. Święta to prawda. Jeśli tego nie zrobimy, to zawsze nasza praca będzie powiatowym, czy wojewódzkim śpiewaniem. A nam trzeba pierśi na całą Polskę — i dalej!...

(Dokończenie na str. 122)

ZYGMUNT KAZUŹYŃSKI

O INNA SPÓŁDZIELCZOŚĆ...

Rok temu, na jesieni 1944, odbyło się w wywołonym Lublinie święto spółdzielcze — takie samo święto, na jakie patrzaliśmy i w którym uczestniczyliśmy parę dni temu. Niewątpliwie, tym razem było to prawdziwie huczne święto. Na domach, płotach, i ulicach miast i wsi polskich pojawiły się piękne afisze wyobrażające drzewo uschłe od korzenia, przedzielone tęczą smugą, i od miejsca w którym przegradza je ten wielobarwny pas — symbol spółdzielczego zjednoczenia — zakwitające świeżymi zielonymi pedami, na znak, że „SPÓŁDZIELCZOŚĆ TWORZY NOWE ŻYCIE”. W oknach związków zawisły tężowe sztandary, tak różne przez swoją baśniową kolorowość od wszystkich flag świata, a za szybami widniały portrety twórców spółdzielczości polskiej; dumna głowa Stefczyka, zawzięte spojrzenie i zaciśnięte usta Thugutia, i owalna twarz o niepozornych rysach, lecz o wyrazie uporu i wytrwałości — Romualda Mielczarskiego, najwybitniejszego, pewnie polskiego pisarza spółdzielczego. W miastach odbyły się zjazdy, na których przemawiali nie tylko wysocy przedstawiciele władz państwowych, ale także goście angielscy i francuscy, przedstawiciele europejskiej spółdzielczości, specjalnie na polskie święto przybyli, po raz pierwszy po pięciu strasznych latach wojny.

Inaczej było wtedy w Lublinie, gdy o sześćdziesiąt kilometrów od miasta grzmiały salwy armatnie, a niepokój o los Warszawy i reszty ojczyzny ciążył na wszystkich którzy tam wtedy żyli. Niemniej była Lubelszczyzna zarodkiem Polski i z niej miało wyjść wszystko, co się potem na całym kraju rozejdzie, — to też nie zapomniano o święcie spółdzielczym. Pisma zamieściły artykuły i wzmianki, a spółdzielcy zeszli się na skromne obrady — ale na tem poprzestali, że wyrazili nadzieję w przyszłość spółdzielczości polskiej, nie nowego nie zaprojektowali. I w tem co gazety pisały, były tylko życzenia pomyślności, a tak że wyraziły nadzieję, że nowa chłopska spółdzielczość dokończy przedbudowy wsi, rozpoczętej przez reformę rolną. Na tem się narazie skończyło: przemilczano wtedy wiele rzeczy, które się nie powinny podobać i które należało zmienić, — ale za wielką była radość z wyzwolenia, z tego że wogóle jest polska spółdzielczość, żeby od razu ją napadać i krytykować.

Tymczasem minął rok, i gdy dzisiaj słuchamy prze mówień spółdzielczych i oglądamy portrety starych patronów ruchu, nie możemy oprzeć się uczuciu gorczy — tak to wszystko jest bez zmiany, jak było lat temu pięć, i lat temu piętnaście; tak powtarzają się hasła, czcigodne i aktualne jeszcze w 1905 roku, gdy le Edward Abramowski układał, dziś już wytarte, zużyte, a nawet nie znaczące, tak w praktyce zwykłe rutyniczne, sklepikarskie metody przy braku nowej, dostosowanej do nowej sytuacji ideologii, tak wydało się spółdzielczość, na której tyłu tyle nadziei opierało, niezdolna do zaprojektowania i wykonania planu wielkiej budowy chociaż nigdy nie miała szans tak pięknych, jak dzisiaj. Czy jednak nie posuwamy się za daleko, zadając od ruchu spółdzielczego tego, czego on nie jest w stanie ani w zamiarze wykonać? Spróbujmy więc określić jakie są nasze pretensje, a jakie realne możliwości ich wykonania.

LISTY DO MŁODEGO POETY

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Jeszcze jedno: sprawa prawdy artystycznej. Mówię, bo sam jestem niby pełen winy. Zwracano mi kiedyś uwagę, że idealizuję, półinteligent pewien, kolega mój, za placem mego ojca siedział ze mną i krwawymi łzami płakał, opowiadając, co rodzina najbliższa wyprawia z nim. Postępowano bezkarnie, straszliwie — nie obchodziło się tam i bez Gestapo...

— A wy w książkach jakże inaczej opisujecie to nasze życie — mówił. Słusznie — i być może czas dziś pokazać atmosferę wsi od najbezwzględniejszej prawdy. Wtedy piękno fragmentów, piękno duchowe niektórych jednostek błysnę tym większym blaskiem.

Na obronę swoją powiem tylko, że pisarz zawsze ogranicza się, zaciemnia w temacie, który wybrał. Ja tak robiłem dotychczas.

Na Zjeździe pisarzy chłopskich ktoś z działaczy powiedział, że chłopie wreszcie zdobył też prawo do luksusu artystycznego, do śmiechu i piękna...

Tak, obok skrajnego realizmu jest miejsce dla śmiechu i sielanki — obok liryki, głębokiej, przemysłowej i na gawędę, żart poetycki. Oby tylko były zamiary i praca o charakterze najwyższego tętna...

Napisałem tak dużą, bo to ostatni list do ciebie. Przyjedziesz, jak przyszedłeś — to już w rozmowie poruszymy wszystkie inne strapienia życia naszego.

STANISŁAW PIĘTAK

SPÓŁDZIELNIA USTEPLIWA

Nikt dotychczas nie wytoczył polskiej spółdzielczości procesu o „współpracę z okupantem”, mimo że wiele osób i instytucji staje dziś przed sądem opinii, i jeśli nawet nie zapada wyrok potępiający, to przynajmniej zmuszony jest delikwent do gestego usprawiedliwiania się. Wciąż jeszcze porusza umysły sprawa prof. Młynarskiego, prezydenta „Banku Emisyjnego w Polsce”, i ci którzy go obecnie wprowadzili do Akademii Umiejętności, zapytywani przez społeczeństwo, objaśniać muszą, że były akcje tego rodzaju, że choć przez Niemców kierowane i dla nich w pierwszym rzędzie pożyteczne, jednak i społeczeństwu przynosiły ulgę i konieczne ułatwienie życia. Tak było z akcją Czerwonego Krzyża, z działalnością Rady Głównej Opiekuńczej, tak miało być i z obiegami walutowymi. Ale jeśli wydaje się jasne, że Czerwony Krzyż był Polakom przedewszystkiem pomocą, to przecież budzą się wątpliwości, czy nie zanadto przysłużyli się okupantowi ci, którzy wydrukowali pieniądze, przekazując Niemcom kontrolę nad nimi. I czy nie zanadto przysłużyli się Niemcom, ci, którzy zgodzili się zrobić ze spółdzielni maszynę do odbierania kontyngentów, a więc wzięli bezpośredni udział w organizacji niemieckiego wyzysku gospodarczego, zaopatrującego armię walczącego wroga. Z pewnością nie uciechyliby się Romuald Mielczarski, gdyby się dowiedział, jak zienawidzone były spółdzielnie rolnicze na terenie „Gubernii”, jak by usłyszał, popularne zdanie o trzech „ważnych osobach”: granatowym policjancie, administratorze „Ligenszaftu” i dyrektorze spółdzielni; gdyby wreszcie na własne oczy ujrzął jak żyje ów dyrektor, i jak żyje urzędnik, potracaający z każdego chłopskiego worka 5%, za rzekome niedoważenia, i z tych procentów składający sumy o wielu zerach. Zaiste stała się spółdzielnia organizacją niemoralną, i tej opinii nie mogą zrównoważyć mizerne dodatnie strony: rozdział premii między ludność i możliwość dostatecznego utrzymania się dla pracowników spółdzielni, którzy okradali magazyny ile mogli, w przekonaniu, że działają na szkodę okupanta.

Jeśli jednak nikt nie myśli wytaczać spółdzielczości procesu o te winy, to dzieje się to dlatego, że całe nasze życie pod okupacją podlegało przymusowi i w tym samym stopniu, co spółdzielnie, pracowały na rzecz okupanta i zarządy miejskie i sady, i organizacje społeczne. A jednak — mamy prawo do spółdzielni mieć żal specjalny. Za wiele sentymentu mamy dla tej organizacji, za bardzo stawialiśmy na jej ideologię, na jej moralną i społeczną wartość. Jeśli za hanielną gętkość spółdzielni nie możemy winić dyrektorów i urzędników, to przecież mamy prawo zrewidować założenia, zasady, metody, które do tak fatalnej kompromitacji ideologicznej doprowadziły.

O SPÓŁDZIELNI KRAMARSKIEJ.

Jest rzeczą uderzającą, że spółdzielczość podobala się każdemu kto w Polsce rządził. Może najtrudniej było jej za caratu; ale potem popierali ją kolejno ludowcy, narodowcy i pilsudczyści; wreszcie Niemcy też dogadali się jako tako. Gdy rząd się zmieniał, spółdzielcy uskarżali się co prawda, że poprzedni władcy „hamowali rozwój” spółdzielczości. I tu leży sedno. Każdemu spółdzielni się przydała — dla jednych była „antykommunistyczna forma gospodarczego współżycia”, dla drugich „dźwignia materialna mas”, dla jeszcze innych „zabezpieczająca interesy ludowe bez krwawego przewrotu”, ale wszyscy ci krzywe patrzyli na rozwój spółdzielczości, szczególnie przedzadający się w formy kolektywne. Każdy rząd POPIERAŁ SPÓŁDZIELCZOŚĆ W DROBNYCH ROZMIARACH. W JEJ FORMACH SKLEPIKARSKICH. Były to formy niewiele w gruncie różniące spółdzielnie od jakiegokolwiek interesiku kapitalistycznego. Tyle, że właściciel był nieindywidualny; zresztą wszystko to samo, kalkulacja i buchalteria i reklama — wszystkie środki i sposoby kapitalistycznego zakładu, prowadzonego przez pojedynczego, bogacącego się posiadacza, zmuszonego do konkurencji. Nie było mowy, by spółdzielnia mogła prowadzić własną politykę gospodarczą czy społeczną. W zakresie ideologicznym ograniczała się do naiwnych kazań o pożytku współdziałania, „Razem, młodzi przyjaciele!”, a w praktyce gospodarczej dostarczała członkom proszek do prania i żeby do młockarni na korzystnych warunkach.

ZASCIANEK...

Dlatego bowiem dawała się nasza spółdzielczość wszystkim wykorzystywać, że była spółdzielnia DROBNEGO WYMIARU, skazana na słabość i niesamowystarczalność. I starano się, by taka pozostała. Działo się to w czasie, gdy spółdzielnia na szerokim świecie przechodziła niezwykle przemiany. Najdalej posunęły się one w Związku Radzieckim, którego nowy kolektywny ustrój oparty został na powszechnej, ogólnokrajowej, obejmującej całe życie gospodarcze sieci spółdzielczej. Ale i we Francji, i w Anglii spół-

dzielnie przetworzyły się w olbrzymie koncerny, które choć istniały na tle systemu kapitalistycznego, to jednak były już dosyć potężne, by zmusić do liczenia się z nimi. Plan przebudowy ekonomicznej, zaprókowany przez Prezydenta Roosevelta jako NOWY ŁAD (NEW DEAL), podporządkowujący państwu wielkie zakłady wytwórcze, przewiduje specjalny udział spółdzielni w tej przebudowie ustroju.

ZWIAZEK SAMOPOMOCY CHŁOPIEJSZAJ

Właściwie możliwości kariery dotąd nieznane otworzyły się przed spółdzielczością w chwili gdy w kraju została przeprowadzona reforma rolna. Dała ona spółdzielczości podstawę materialną — tylko czy rzeczywiście dała, i czy warunki których się spodziewaliśmy, rzeczywiście już istnieją? Czy raczej długo jeszcze czekać będziemy musieli, by się one wytworzyły?

Związek Samopomocy Chłopskiej powstał jako bezpośredni skutek reformy — i powstał od razu jako organizacja pierwsza w Polsce takich rozmiarów i takiego zakresu działania. Był on olbrzymi w porównaniu do innych polskich spółdzielni, dotychczas działających. Stowarzyszał miał wszystkich chłopów pod hasłem — wspólnego wykorzystania wyników reformy rolnej, którą wszak mogła zaopatrzyć tylko w ziemię nie dając już narzędzi i dobytku. Wszystko, co potrzebne jest chłopu gospodarującemu na niewielkim skrawku, a co zakresem przechodzi jego możliwości — więc maszyny, więc masowe sprowadzenie ziarna i nawozów sztucznych — miało być przedmiotem zainteresowania Związku. Na razie — a w perspektywie, i olbrzymie składy zboża i spółdzielczy handel całą produkcją rolną wsi polskiej... Związek zakrawał na potęgę.

Szeptano przy tym na ucho, wskazując na przykład Związek Radziecki, że Związek będzie organizacją przejściową, podobną do spółdzielni NEPU, że utoruje drogę kolektywnej organizacji gospodarczej... Zarząd Związku Samopomocy kategorycznie zaprzeczał tym „wyjaśnieniom” złośliwym, pochodzącym z kół, które straszenie komunizmem uważały za główny argument propagandy antyrządowej. Związek miał być co prawda spółdzielnią o niezwykłej rozpiętości, tak — ale nieczym więcej.

Niestety, okazało się że jest jeszcze czymś mniej. Trudno określić dlaczego tak się stało — czy była to wina niechęci chłopów, który masowo Związek nie poparli i zostawili go w rekach Zarządu, nie objawiając odpowiedniego zainteresowania, czy była to wina ostrożności tego właśnie Zarządu, czy może reforma nie utrwaliła się dostatecznie przy ciągłych na wsi obecnej przemianach, i przy ruchu ustawicznym na zachód; czy może podział wsi na bogatszych i biedniejszych ciągle jeszcze jest tak dobitny, że niesposób zjednoczyć się we wspólnych interesach, czy może wpływy rządowe hamowały szerokie zapędy organizacyjne Związku, ograniczając go wreszcie do organu kontroli, podobnego do dawnej Izby Rolniczej? Zapewne, wszystkie te czynniki potrosze sprawiły, że stał się Związek raczej zawodowym stowarzyszeniem rolników, o zabarwieniu politycznym prorządowym, niż ową organizacją spółdzielczą o nowej ideologii gospodarczej, istotnie TWORZĄCĄ NOWE ŻYCIE, której się po nim spodziewaliśmy.

Dołącza się tu jeszcze jeden nieszczęśliwy czynnik polityczny. Najogólniej możemy go określić jako lęk przed radykalizmem i przed wszystkim, co przypomina kolektywne formy gospodarki. Płynię on z błędnego rozumowania, że trzeba się sprzeciwiać wszelkim reformom społecznym zbliżającym nasz ustrój do socjalistycznego, ponieważ reformy te idą na rękę PPRowi; oto argument, używany przez wszystkich przeciwników politycznych tej partii. Po pierwsze, nie jest NIESTETY nasz rząd tak skory do radykalnych a tak potrzebnych pociągnień; po drugie, jest wielkim głupstwem łączyć argumenty polityczne ze sprawami KONIECZNEGO POSTĘPU. Reformy gospodarcze i społeczne muszą być NIEZALEŻNE OD POLITYCZNYCH SYMPATHI, bo partie przemieniają, a kraj zostaje... zostaje zatrzymany W POŁOWIE NIEDOKONCZONEJ REFORMY, reformy która przeprowadziła zdawna najbardziej nawet zacofane, reakcyjne państwa!

Spółdzielczość nasza wciąż nie jest spółdzielczością nowoczesną. O tym zawsze musimy pamiętać, bez względu na to czy nasze skłonności i temperamenty pchają nas do PSL czy do jakiegokolwiek innej partii. Wciąż jesteśmy w okresie prowizorycznym, wciąż hamują nas rozliczne węzły, jeszcze przed 39-ym rokiem splecione — ale już reforma rolna i założenie Związku Samopomocy — jakkolwiek trudno żeby nas w obecnym swym stanie zadowolili — stanowią załazek przyszłości. Od tego zależy bardzo wiele, a nawet i wszystko — bo GOSPODARZY I SPOŁECZNY POSTĘP PAŃSTWA POLSKIEGO.

Jan Bolesław Ozóg

O D S T Ę P C A

(fragment powieści)

Przyjazd Adama do domu był dla Różańców straszną niespodzianką, tym bardziej, że nie uprzedził ich żadnym listem. Stało się to zbyt nagle. Cios był dobrze wymierzony w nadzieje i zamiary ojca. Stary nie krył się nawet z niechęcią ku synowi. A Adamowi ciężko było powiedzieć, że już do seminarium nie wróci. Mruczał, że mu dano urlop, że chory na nerwy. Kazano mu dużo mleka pić i leczyć się. W domu jednak, widział, nastąpiła teraz bieda. Nie doła się ani jedna krowa i nie było mleka ani dla małej Stęki ani do barszczu. Kury także przestały się nosić, za co więc kupić soli, albo omasty?

Nie długo się jednak dało ukrywać fakt.

Po wsi gruchła wieść, że Różańca wyrzucono z seminarium. Co się wtedy nie działo!

Leciła bajka od domu do domu, z ust do ust: — To go biskup wywalił po prostu za złe egzaminy. Tak oni, prostaczkowie sobie wyobrażali: ano więc, że biskup, i za naukę, wreszcie, że „wyrzucił”. — A może jeszcze gorzej? Któż tam wie, co Adam zmagistrował! Może to niedowiarstwo?

— Lepiej takiego nie trzymać w domu, bo to kera boska — ostrzegł ten i ów Kubę Różańca — syn ci się popsul!

— Żebyś ino tego nie żałował.

A stary wracał do domu wieczór, kiwał głową, ponury i zły, drobnił sobie swój chleb do barszczu.

Adam zamknął się na cały tydzień w izbie, nie wychodził nawet na pole więcej jak tylko rano i wieczór, w nadziei, że sąsiedzi przestaną się nim interesować i skończy się plotki i oszczerstwa.

Nadaremnie. Z tą samą wytrwałością, z jaką czeka się na prowadzenie bandyty, czekały kobieciny zza płotu: Belzka i Pytłowa na pierwsze wyjście Adama, jekawe, jak też wyglądał taki, który zrzucił sutannę. Stąd też, gdy w Boże Narodzenie rankiem, idąc na mszę, odważył się wyjść ostrożnie na drogę po cywilnemu, w czarnym jeszcze tylko płaszczu, poddany został długiemu, nieznośnemu przykremu egzaminowi. Z mężczyzną żaden mu się nie uklonił. Ten i ów mruczał znacząco i wcale nieuprzejmie, albo podśmiewał się ironicznie. Kobiety zaś, z których przecież nie wszystkie uchodziły za parafialne tercjarzycy, rzuciły mu surowe spojrzenia. Dziewczęta wręcz parskały śmiechem i to prosto w twarz, że omal się nie rozplakał. Tak, to była złośliwość, jakiej się można spodziewać tylko od znajomych.

Całą drogę szedł dalej ze spuszczoną głową a w kościele kleknął w samym kącie pod chórem, żeby nikogo nie drażnić swoim widokiem... Niemilosierdzie i brutalnie obeszły się z nim dzieci. Podlotki, które gdy wychodził z kościoła, ciejdały po pastwisku i bawiły się na drodze w śniegu, usuwały się lekko w bok z odcieniem odrazy, jakby przeszedł pies zarażony wodowstrętem. Nagle wśród gwaru i wrzasku uciekły jak jedno, pochowały się za drzewa, stamtąd patrzyły mu zachwale prosto w twarz i, skoro tylko je mijał, mruczały najpierw po cichu, a potem coraz głośniej: — Ksiądz, ksiądz, ksiądz!

Doprowadzało to Adama do wściekłości, że ledwo panował nad sobą. W tym wszystkim nie kryło się nic tak bardzo złego. Wiedział, że dzieci drażnią się z nim, bo ich rodzice im tak kazał. Ale i tak miał ochotę puścić się w pogoń i wyrwać komu z korzeniami ucho.

Wyobraźnia hańby wyolbrzymiała w oczach jego obelgę, a wrażliwość jego nie mogła znieść wyrafinowanego okrucieństwa, jakie go spotykało na każdym kroku. Mniemał, że znalazł się wśród samych wrogich i niesprawiedliwych ludzi.

Znowu się rozbiegła plotka, że Różańca okradł biskupa. Nie było rady z hołota.

W domu zaczęła się formalna wojna.

— Do niczego nie dojdiesz, nie będziesz niczym. Ty bandyto mojego zdrowia — to mówiła matka.

A Adam pieniał się ze złości, nie wiedział, jak już mówić i jak się bronić.

Niekiedy przychodziło mu do głowy opowiedzieć ojcu wszystko, ale myślał: — to jest prosty człowiek, gdzie zrozumie to, co się w nim dzieje. Rezygnował. Brakoby mu zresztą słów. To było wszystko jak burza, w charakterze mało zindywidualizowane, nawet faktów, rzeczy i cierpień. Tylko krzykiem można by to opisać, a to mniej przekonuje, niż chłodna argumentacja, na którą teraz nie mógł się zdobyć. Zresztą sam nie wiedział, czy był bez winy. Przecież tyłu ludzi w jego wieku szło na teologię do Kłerykowa i sobie chwaliło. Postąpił jak rozrzutnik. Oto gest godny indywidualisty i naprawdę silnego charakteru. Bądź co bądź postąpił odważnie. Kto mu zareczy, że jest naprawdę poetą, a nie zwykłym śmiertelnikiem, kabotynem i nie-

bieskim ptakiem, któremu się nie chce pracować? Wzdrygnął się, czuł siły w sobie, z którymi pójdzie wszędzie. Wierzył, że tak nie jest.

Wszyscy podjudzali ojca, żeby go wygnął, bo wstyd, ludzie się śmieją. — O właśnie! Ojcu i matce tylko o opinie chodziło. Stąd też ciągle robili mu awantury, wyzywali go, dwili żon. Szyderstwom nie było końca.

Pokazywało się, jak wygląda miłość rodzicielska w praktyce, w chwili, kiedy syn cierpi. Gdyby mógł gdzieś uciec, samby się dawno już wyniósł z ich domu. Toteż pogardzał nimi. Wykluczył ich raz możliwie na zawsze ze swoich dawnych uczuć.

Pogardzać człowiekiem, to znaczy przekreślić go z góry, raz na zawsze, uważać go za straconego, stwarzać między nim a sobą dystans większy niż ten, który Boga dzieli od człowieka.

Ze strachem spostrzegł Adam, że on tak właśnie przekreśla miłość ku rodzicom, ich samych, ojca zwłaszcza. Zresztą wiedział, że ojciec nawzajem go nienawidzi. Lżył go przecież na każdym kroku, że musiał chować się po kątach.

Pożycie w domu stawało się coraz niemożliwsze. Gdzie się tylko ruszył, odprowadzało go złe spojrzenie. Uszczypliwe docinki nie kończyły się.

— A ty hyciu bez honoru! Ludzie się z ciebie śmieją i z nas!

WŁADYSŁAW MILCZAREK

AKWARELA

*Biała chałupa, cztery okienka
dwa patrzą na wschód, dwa na południe,
w ogródku malwy, słonecznik, mięta,
a obok żuraw zagląda w studnię.*

*Kawałek płotu przy sadzie drzemie
na płocie garnki schowane po mleku —
zagląda słońce — kładą się cienie
i wykukują złote wypieki. —*

*Zieleń łagodna, biel niebieskawa
w studni wyblakła ultramaryna;
strzechy, słonecznik — refleks złotawy
w ogródku fiolet, centki karminu. —*

*Cienie, półcienie, gamy kolorów
boski artysta nasycił, zmienia
i jak na białej karcie papieru
maluje pejzaż swego natchnienia.*

ZYGMUNT SIERP

WIECZOREM WIEŚ

*Gdy wieczorem obejście zmrok doszczętnie wysięcia
lampy od sąsiadów tną drogę na poprzek —
z soboty na niedzielę czas się tu zatrzymuje,
byś mógł duszę wygadać, której tydzień nie dostrzegł —*

*chłopską duszę o zmianach zwykłych, czterech pół-
roku,*

*co liściem się bierze na kamienną perci,
co burzą się zapadnia, lub też rodzi się ciszą,
by chętniej sygnaturce
ulec
bezradności śmierci.*

*Wieczorem nietoperze, czarne gołębie nocy
piszą po ciemnym niebie hieroglify biczów,
na które wieś patrzy gasząc lampki naftowe,
by snem zniechęcić obrazy co krzyczą.*

W najbliższych numerach
sprawy teatru ludowego
Oświaty

Chciał się już raz z tym zafatwić. Jeśli dla krewnych był zakaźny i posmiewiskiem i jeśli wytykają ich palcami przez niego, to pójdzie sobie. Ale wiedział, że ojciec mu nie da na tę drogę.

W oszczędnościach miał Adam zaledwie trzydzieści pięć złotych: piętnaście od rektora Grocha a dwadzieścia od Marszałki. Te ostatnie przeznaczone były pierwotnie na komeżkę. Kobięcina dała mu swoje oszczędności niebezinteresownie. Śmiał się z Marszałki, a przeznaczył sumę na swój jedynie użytek. Domyślał się, o co jej chodziło. Chciała jeszcze nawrócić go na księdza — naiwna naprawdę baba. Prawdopodobnie ojciec ją do tego namawiał, bo sam za hardy i za dumny, żeby Adama prosić o powrót do Kłerykowa. Do jakich to wybiegów się już uciekał, pojęcie przechodzi. Ale trafił na mądrzejszego od siebie, oho!

Zresztą z tą komeżką miała się rzecz bardzo tajemniczo i rzucała ponure światło nie tyle na ojca, ile na ofiarodawczynię.

Marszałka trudniła się akuszerią i jak zwykle w takich wypadkach na starość zrobiła się strasznie pobożną osobą. Ojciec znał ją jeszcze z dawnych lat. Była ładną dziewczyną i pono kochała się w ojcu. To jej nie przeszkadzało bywać u niego przy powiciu dzieci z córki Zdebia, którą wybrał za żonę.

Ostatnio ojciec stał siedział u Marszałki, odkąd tylko zaczęła słabować na piersi i tam uknuł się plan podstępny. Pewnego mianowicie wieczoru przyszedł Kuba z wieścią, że Marszałka ma się gorzej, że po księdze nawet posłano i coś tam gadał, że Adam powinien odwiedzić chorą, bo to przecież kobieta znająca z przyjaźni, a zresztą ona ma z nim do pomówienia.

Adam mógł nie usłuchać, ale wstał i poszedł. Zastał sąsiadkę w łóżku, dyszącą ciężko, ale wcale znów nie wyglądającą na to, żeby miała zaraz umrzeć. Wino było udawania w tym, niż, rzeczywistego cierpienia. Marszałka zapytała, czy wie, po co go wołano. Nie, Adam stanowczo się nie domyślał. To, że ją z jego ojcem łączyła stara przyjaźń i że czasem zaglądała do ich domu, nie wskazywało bynajmniej na to, żeby czuł względem niej jakiś wyjątkowy szacunek ponad to, co się każdemu należy.

— A więc — ona tak zaczęła — czuje się coraz słabsza, pewnie już z łóżka nie wstanie, jest bardzo stara... Zawsze się cieszyła, widząc Adasia Kubowego w sutannie klerykańskiej, w której mu tak ślicznie.

Trzepała i trzepała, ale nie przerywał.

— Wielka to radość dla całej wsi i zaszczęty, kiedy rośnie nowy ksiądz. Teraz smuci się, że tak niespodzianie Adaś wrócił, lecz myśli, że to tylko chwilowy urlop. Nie wierzy ludzkiemu szczekaniu.

— Tak! — zjadł się z nią Adam. — Jestem chory, cierpię na nerwy i muszę odpocząć.

— O, kto dziś nie cierpi na nerwy — uspokajała go. — To jednak minie — i ona zawsze prosi w pacierzu, żeby Adaś wrócił, jak tylko się skończy z tymi nerwami... Zaczęła kaszleć. Już ona nie doczeka tej chwili, kiedy będą jego prymicie, nie, ale chciałaby mu dać od siebie jakąś pamiątkę. Oto usklała dwadzieścia złotych — leża właśnie na stole — niech sobie weźmie od niej i kupi komeżkę. Gdy ona umrze, to może kiedyś przynajmniej Adaś, będąc już księdzem, westchnie za jej duszę do nieba.

Była to propozycja tak niespodziewanie dziwna, że Adamowi dech odebrało. Nie wiedział, co odrzec. W pewnej chwili uczuł nawet, że to zbyt wzruszające i że ta staruszka, szepcząc w chorobie to strasznie dobra kobiecina; oto ostatni grosz oddaje dla niego — fajdaka. Ale przedko się powstrzymał. Zabrał pieniądze ze stołu, jedne w całym papierku, i mrucząc coś na podziękowanie, pocałował akuszerkę w rękę i odszedł.

W domu wzruszenie go opuściło nagle jak z wiatrem. Ba, co więcej, zaczęło mu się to wszystko nie podobać. Wietrzył podstęp. Hej, to był na pewno wybieg ze strony ojca, który okreśną drogą chciał zmusić go do powrotu na teologię. Oszukali go, a on gotów był rozplakać się. O podli!

O tym, że był to rzeczywisty podstęp, przekonał się już wkrótce, kiedy w domu nile nie wspomniawszy o wizycie u Marszałki, pieniądze zamknął w szufladzie stolika i jakby nigdy nic, zapowiedział, że mu się nawet nie śni teologia. Ojciec wtedy skoczył jak wściekły i krzyknął:

— Złodziej! Złodziej! — i wypadł z domu bez czapki.

Poznał Adam, że to zacięłość okrutna. Ojciec przegrał i to doprowadziło go do takiego rozdrażnienia. Wiedział o wszystkim. Adam chciał pójść natychmiast i zatkać babie pysk jej dwudziestoma złotymi, żeby się udławiła. Po chwili zastanowienia się jednak poczekał. Właściwie, kiedy się ta sprawa tak przedstawia, to głupi by był, gdyby pieniądze oddał. To jest podłość ze strony akuszerki i ojca. Dobrze im tak, niech cierpią! I w nim się upór budził.

FELUCH JOZEF

KOLUMNA MŁODYCH

W OSTATNIEJ CHWILI

Opowiadanie Felucha jest na terenie pisarstwa ludowego unikatem, gdyż jest ono jakby brulionem noweli psychologicznej, a ten typ nowelistyki nie cieszył się popularnością wśród pisarzy chłopskich. Feluch nie potrafi jeszcze należycie organizować materiału i dlatego zamiast zwięzłej, skonstruowanej noweli dał dość rozwlekłe opowiadanie. Umie on jednak opowiadać zupełnie poprawnie zdaniem i wywołać zamierzone efekty. Świadczy to już o dość wysokim stopniu opanowania twórczego pisarskiego. Drugą wybitną zaletą Felucha, jest unikanie bezpośredniej wypowiedzi ideologicznej, którą jednak zupełnie wyraźnie wyczytać możemy z samego rozwoju akcji opowiadania.

Człowiek nie może docenić wartości rzeczy powszednich póki nie spojrzy z perspektywy czasu utraconego na obcowanie z tą rzeczą. Marczak czuł to dobrze, gdy teraz patrzył na swój dom. Jak wielką przeszedł wędrowkę pomiędzy obcymi ludźmi, jak straszne dni pozostały już za nim. Jeszcze teraz, gdy przymknął oczy, widział ciemiste, niezliczone pasma drutów kołczastych, okrążających skrawek ziemi, gdzie spędzono gromadę ludzi. Dawniej byli to ludzie, lecz straszliwa machina obozowa powoli przerabiała, odciągając, jak diabelska centryfuga, wszystko, co było w nich ludzkie, aż zostawiła tylko piekło zmysłów, powoli a bezustannie ich spalające. Marczak wtedy nie wytrzymał. Zaryzykował tę resztkę nędznego życia, jaka była przed nim, i uciekł. Potem już za drutami znów nadała mu kierunek zwykła ludzka tęsknota za swoimi, za domem.

Ale teraz, gdy stał już u celu swej wędrowki — zabrakło mu nagle sił, aby przekroczyć próg. Bał się ujrzyć żonę, dzieci, czuł, że nie wytrzyma, że coś zaraz się w nim zarwie i pęknie z tak nadmiernego szczęścia. Stał jak skamieniały. A wszystko było takie cał błędnym wzrokiem wkoło. A wszystko było takie samo. Stodoła z nadmurszającą i porośniętą mchem strzechą obora z strząskanym tyńkiem i kupa nawożu przed drzwiami, i dom był ten sam, wymarzony w bezsennych, zgnitych obozowych nocach. W oknach stały jak w dzień ślubu pelargonie z małymi delikatnymi kwiatkami, a różowe firanki zasłaniały wnętrze. Po podwórzu chodziły kury i grzebały, jak dawniej w śmietniku. Pies dzwonił pod oborą. Marczak zawołał cicho, prawie szeptem: — Burek, Burek...

Pies uniósł łeb i nagle zerwał się, gwałtownie tużając.

Na szeczek psa wybiegła z domu mała dziewczynka i szybko cofnęła się spowrotem. Nie zauważyła nawet, jak Marczak uśmiechnął się do niej.

Teraz z domu wyjrzała młoda kobieta i przysłoniwszy oczy ręką patrzyła na niego. Marczak potarł zarośniętą brodę i postąpił naprzód...

Gdy obudził się pierwszy raz, był już rozebrany i leżał na łóżku. W pewnym oddaleniu stały dzieci z wystraszonymi minami.

Uśmiechnął się do nich. Mały Wojtek wyjął palec z ust i zastygł w zdziwieniu wybałuszony wielkie, niebieskie oczy. Starsza Halinka przysłoniła wstydliwie oczy ręką i spozierała z poza Wojtka bojaźliwym, wystraszoną wzrokiem.

Matka odbiegła od kuchni i usilnie namawiała: — A no przywitajcie się z ojcem. A no, Halinko, nie wstydź się, no, Wojtek przedziej. To ojciec, nie bój się.

Dziewczynka zbliżyła się do niego z wciąż zasłoniętymi oczami i uśmiechając się nieśmiało — pocałowała go przedko w rękę.

Marczak ujął jej głowę i przyglądał się z uśmiechem: — Ale ona jest podobna do Ciebie. — A potem do dziewczynki: — nie poznałeś mnie, co?... — Skinęła przytakująco główką.

Wojtek już ośmielony wspinał się na palce i też się chciał zapoznać z nieznanym człowiekiem, który odtąd miał nazywać się ojcem.

Marczak śmiał się do dzieci i starał się je zabawić, ale uśmiech wychodził mu dziwnie gorzki.

Marczak rozmawiał z żoną. Miał tyle do opowiedzenia sobie, tyle życia upłynęło tu bez niego, tyle dni smutnych i w ciągłym oczekiwaniu jego powrotu przeminało i ten jego powrót wymarzony we snach, kiedy teraz stał się rzeczywistością... aż nie do wiary. Mówiąc dotykała delikatnie jego skośmaczonych włosów. Gdy skończyła już o sobie i dzieciach, przysłała na niego kolej. Ale on dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie może. Wyglądało to tak, jakby nie miał żadnych wspomnień i nie nie przeżył. A przecież czuł w sobie ten nadmiar wspomnień, miał nimi wyładowaną pamięć, gnieździły się w nim i klebiły jak plugawe, obmierzłe robactwo. Czud wstręt do tych wspomnień. Powoli je rozplatywał, wyciągał kolejno jak nitkę z kłębka. Starał się mówić, co czuł w sobie, ale słyszał, że to, co mówi, jest dziwnie blade i nie prawdziwe, tej prawdy nie mógł i nie potrafił wypowiedzieć, to było tak niezrozumiałe i straszne, że brakowało mu wyrazów na określenie

tych wrażeń. Naprawdę siłił się oddać wierny sens tego, co miał wyryte w pamięci. To, co wychodziło mu z ust, było tylko zwykłą gadaniną. Ale żona ścisnęła mu dłoń, jakby upewniając, że wyczuwa niedomówienia.

Przestał mówić. Tak w ciszy, gdy słyszał tylko szelest bicia serca, łatwiej jest zrozumieć drugiego człowieka. W ciszy monotonnie tyka zegar, a przez okno widać palące się na zachodzie żorze. Zmierzech sadowi się po kątach i osłania sobą świat. W uszach szumi cisza; świat traci swe kontury, rozplywa się w mroku i odpływa gdzieś na falach snu.

**

Pierwszą tę od lat noc Marczak przespał spokojnie. We snach tylko błękały się obrazy przeszłych dni. Obudził go słońce. Stało w oknie i lśniło całą swą letnią wspaniałością. Koło kuchni krzątała się żona i po cichu przesuwiała garnki. Spojrzała na niego i zbliżyła się ostrożnie, na palcach, by go nie przebudzić. Przez szyby wciąż patrzyło mu prosto w oczy słońce, a pelargonie, rozpierające się na oknie, rozkwitały różowymi, delikatnymi kwiatkami.

Żona wyszła już z domu. Pewno kury rozgłaskane wypuszczają teraz z chlewka, albo krowie daje zieloną, pachnącą rosą seradełkę. Marczak poruszył się. Słyszeli nawet jak krowa ryczy i jak kury z gdańkami wypadły z chlewka i rozlatują się po podwórzu. Kogut wydiera się w niebogłosy. „Pewno na pogodę”, myśli Marczak sennie. „Trzeba się będzie do roboty wziąć, bo lato...” — przelatuje mu jeszcze przez głowę i znów zasypia.

**

Budzi go nagle szarpanie i przerażony głos. Ten głos odnawia w nim gdzieś tam ukryty strach. Dawniejszy zwierzęcy strach. Nad nim stoi żona roztrzęsiona — nie potrzebował tłumaczeń. Zrozumiał. Stał już na podłodze i gorączkowo nadziewał swoje swoje łachmany. Ręce mu drżały. Uczuł pustkę w sobie wypełnioną tylko tym strachem nadpływającym z przeszłych dni.

Wyskoczył z domu i stanął rozglądając się bezradnie. Żona popchnęła go naprzód i szeptem, jakby ją kto podsluchiwał, powiedziała przedko: — „Tu, tu...” w styrtę zagrzech się mocno... w tę jamę...” — nie mogła mówić dalej i dokończyła tylko ruchem rąk.

Gdy Marczak był już zagrzebany w słomie, żona jeszcze się nachyliła i powiedziała nieswoim, nabrzmiałym przerażeniem głosem: — A bądź cicho, nie poruszaj się... Ja cię sama zawołam. — Potem starannie zasunęła go słomą i odeszła do domu, raz jeszcze rzuciła wzrokiem na drogę.

Byli już koło domu. Trzech żandarmów, dwóch policjantów. Wpadli do izby i napełnili ją krzykiem: — Matko, gdzie ojciec? — Marczakowa odwróciła się od kuchni i powiedziała powoli, głosem, w którym było zdziwienie: — Jaki ojciec? Męża wzięliśmy dwa lata temu i dotąd go trzymacie...

— A... matko, mówcie prawdę. My wiemy, że on do was przyszedł w odwiedziny. Nie zapierajcie się, bo dla niego gorzej.

Marczakowa uniósł głowę i już z dumą odpowiedziała im ostro: — Męża tu nie ma. Dajcie mi spokój — i odwróciła się do kuchni przedstawiając panujące gary.

Żandarmi naradzali się ze sobą. Policjanci stali z boku i neutralnie zachowywali milczenie. Z podwórza wleciała Halinka z Wojtkiem i stanęli przy drzwiach jak wryci na widok żandarmów. Jeden z żandarmów zbliżył się do dziewczynki i głaskając ją po wzburzonych włosach, starał się uśmiechnąć, wykrywiając tłustą, czerwona twarz w przyjemny grymas, przy tem mówił słodkim głosem, nachylając się tuż do twarzy dziewczynki: — Powiedz, małutka, tatuś już przyszedł do domu? — mówił tak czysto po polsku, że Marczakowa odwróciła się od kuchni i wpła wzrok przerażony w córkę. Dziewczynka uniósł wystraszone oczy na Niemca i opuściła je zaraz nie mówiąc. Żandarm ujął ją pod brodę i mówił, wciąż starając się uśmiechać: — No, powiedz, nie bój się... — Ale teraz dziewczynka wyrwała mu głowę i z płaczem uciekła do matki chwytając głowę w fałdy matczynej spódnicy.

Wojtek stał z wybałuszonymi oczami i patrzył na tych dziwnych dla niego ludzi.

Żandarm zaklął i już całkiem rozłoszczony bełkotał coś do towarzyszy. Potem wszyscy wyszli na podwórze. Policjanci podążyli za nimi. Marczakowa przypadła do okna i wpijała się wzrokiem w każdy ich ruch. Ale żandarmi nie szli do sterty. Porozdzielali się i pojedynczo już zaglądali w każdy ciemny kąt. Weszli na stych, byli w oborze, zaglądali pod żłoby i wchodzili po drabinie aż pod sam szczyt stodoły; macali bagnety słomę i kleli coraz głośniej. Jeden nawet zajrzał do studni, a potem patrzył uwa-

żnie na liściaste korony kasztanów obok stojących. Weszli wreszcie na stertę. Odrzeżywali słomę, dziurawili ją bagnetami. Marczakowej wtedy wszystka krew uciekła z serca, a w głowie czuła łomot i huk pulsu. Ale odeszli i Marczakowa uczuła nagle wprost wdzięczność dla nich...

Marczak leżał w swej skrytce jak nieżywy. Brakowało mu tchu, dusił się. Przez małą szparę w słomie widział zielone plamy mundurów i ten widok wywoływał z pamięci koszmarnie widziadła minionych dni. Przestał nawet myśleć. Cały zamienił się w oczekiwanie. Jak tropiony lis w norze, zamienił się w słuch i czuł całym sobą każde stąpnięcie prześladowców. Słyszał szelest przewracanej słomy nad sobą i wtedy zrozumiał, że to już koniec nadchodzi, ale koniec nie nadszedł, szmer słomy uciekł i stapania się oddaliły. — Marczak odczuł niesłychaną ulgę, odetchnął całą piersią. Przez szpary w słomie widać było skrawki podwórza, chodziły tam ze skrzekotaniem kury. Wielki biały kogut machał skrzydłami i piał. Przez głowę Marczaka przemknęła myśl: „Pewno pogoda dziś będzie”. Starał się sobie przypomnieć przy jakiej okazji myślał już o tym samym, gdy nagle białego, wciąż piejącego koguta przesłoniła ciemna zielona plama. Kogut przestał pisać, a do uszu Marczaka doleciały przekleństwa i szuranie butów. Znowu zatrzymał w sobie oddech i zeszytniał cały w oczekiwaniu.

Fala pocucia niebezpieczeństwa znów nadpłynęła i opanowała go całkowicie. Czud, każdy ruch butów, słoma szeptała mu, szmerem o każdym szurnięciu. Po czole spływały wielkie krople potu i oblewały ukropem całe ciało. Zdawało mu się, że jest w jakimś wrzasku. Błędnym wzrokiem wpatrywał się w wirujące w smudze słońca pyłki kurzu. Było ich tak dużo, że tworzyły jedno złote pasmo. Marczak zaczął liczyć wirujące pyłki. Poczud, że nie wytrzyma tak długo i chciał skupić się na tym liczeniu. Ale nie mógł ich policzyc — pyłki uciekały wciąż i ginęły w szarości jego nory.

Przestał liczyć. Na myśl wtedy mu przyszło, co też żona tam robi. Pewno śniadanie już ugotowała. Pamięta, że jak wychodził z domu, to kartofle stały ugotowane. Myśli mu się wciąż rwały; nie mógł sobie dać z nimi rady.

Patrzył nieprzytomnie przez małe otwory w słomie i widział poruszające się, upiornie zielone kawałki munduru. Tak straszną nienawiść zmieszana z śmiertelnym lękiem czud do tego kawałka zwykłej materii, jaką tylko może czuć człowiek prześladowany do swego oprawcy. Stamtąd, z poza wąleń ściany słomy dochodził zniecierpliwiony bełkot.

W pewnej chwili zielony kawałek munduru zaczął się zbliżać ku niemu i zastonił sobą wszystko. Marczakowi wydało się, że już umarł; że wobec tego nie go to już nie obchodzi. Serce było jak kawał lodu, choć biło tak mocno, że przyciskał je ręką, by zagłuszyć łoskot, od którego pękała mu głowa. Poza myślami coś go trzymało jednak nadal na uwierzy i nie pozwalało mu się zdradzić najmniejszym ruchem. Im bardziej słabł na siłach, tym bardziej rosła ta potęga. Był to zwierzęcy strach o życie. Spodniewierany i zniszczony przeżyciami nie mógł zdobyć się na bohaterstwo zapanowania nad sobą w sytuacji bez wyjścia. Przez cienką warstwę słomy widział obecność tamtego i czud, że każdy mimowolny ruch mógłby być wyrokiem dla niego.

Żandarm nie poruszał się. Stał w miejscu i coś mówił do drugiego. Marczak nie rozumiał dobrze po niemiecku, wyłowil jednak z tej rozmowy ten sens, że porzucają poszukiwania i że wrócą tu jutro. To go napełniło nadzieją. Powoli sączyła się w niego radość uratowania; pocud ulgę i odetchnął głęboko, jakby już wszystko należało do przeszłości. Zielone plamy poruszyły się i pocudły odpływać powoli, a wraz z nimi odpływał niepokój.

Marczak wyprostował skostniałą nogę i poruszył się.

I wtedy — stała się rzecz nieoczekiwana.

Małenka słoma popchnięta nieostrożnym ruchem wwierciła się w nos. Zaświerbiało straszliwie, nie do wytrzymania. Marczak złapał się za nos i wlił się w słomie ale nie wytrzymał. Wybuchnął nagle stłumionym parszaniem raz po raz, jeszcze raz... i jeszcze.

Żandarmi stanęli i nasłuchiwali, a potem już jak ludzie, którzy zrobili nadzwyczajne odkrycie, rzucili się do słomy.

**

Nie zobaczył już żony, która ujrawszy go pomiędzy żandarmami, padła bez czucia na łóżko i nie słyszała nawet jak dzieci zbliżyły się do niej, zaniepokojone i szarpały ją krzycząc.

Słońce wyszło z za chmury i padło na podłogę złotą plamą, a kwiatki pelargonii znów zajaśniały jak w dzień ślubu, jak dziś jeszcze, a pewnie zająsnięją tak i jutro, i po jutrze i... opowiadać już dalej nie każ mi, czytelniku.

Helena Wielowieyska

„Leśnymi oczami”

Wydany ostatnio w Krakowie tomik poezji Władysława Machajki pt. „Leśne oczy” jest interesującym zjawiskiem tak literackim jak społecznym. Młody autor wystąpił z książką, stawiającą go od razu w gronie dojrzałych artystów i ludzi o zdecydowanym światopoglądzie społeczno-politycznym.

Bo wiersze Władysława Machajki to nie tylko liryki o silnym napięciu osobistego wzruszenia i nie tylko liryki patriotyczne. To także, a może przede wszystkim wyznaczenie wiary młodego partyzanta. Społeczne i polityczne manifesty, w których w zdaniach skróconych i pełnych napięcia wyraża się jego postawa wobec każdorazowej rzeczywistości polskiej: przedwojennej, okupacyjnej i już wyzwolonej — ale nieokreślonej jeszcze od wojennych wstrząsów, których echa dochodziły nas z nieprzełamanej jeszcze linii Odry.

Według tego mniej więcej schematu podzielił autor swój tomik. Pierwsza najszczęśliwsza część książeczki to cykl wierszy zatytułowanych wspólnie „Krwawe widnokregi” i drugi, „Śpiewami koło pól”. Cykl „Krwawe widnokregi” zawiera wiersze pisane przeważnie tuż przed wojną; są to krótkie i mocne manifesty walki klasowej chłopów w Polsce z przed 1939 r.

„Siebie oddam na afisz ma chłopka ojczyzno,
mój wiersz na gońca.”

Tak przedstawia siebie i swoją poezję zaraz w pierwszym wierszu zatytułowanym „Ziemia wschodzi”, by parę stron dalej w „Racławicach 1937”, wierszu o mocnych akcentach okrutnego proroctwa zbliżającej się wojny nawoływać:

„Niema czasu. Na Zachodzie o pośpiech wolają luty.
Czas by się Polska we wsie wrosła,
by im się nie śniła —
w ręce karabinów wsunęła — miast drógów i kłonic.”

„Śpiewami koło pól” — to cykl liryków osobistych. Te liryki osobiste, nie posiadające silnego emocjonalnie wydźwięku społecznego i politycznego reszty utworów tomiku, są właściwym sprawdzianem talentu i opanowania rzemiosła; Władysław Machajek stylem swoich utworów zbliżony jest bardzo do grupy przedwojennych autentystów z „Okolicy Poetów”, ale autentystów którzy jak Józef Andrzej Frąsik przykład przeszli w młodości twardą dyscyplinę krakowskiej awangardy. I chociaż w tym cyklu Machajek jest może najmniej samodzielny, to jednak ma w nim jawne świadectwo dojrzałości, certyfikat uczciwego poziomu. Bo tutaj nie zakusuje nas emocjonalnie tematem jak w wierszach partyzanckich, nie może obezwładnić nas uczuciowo jak w wierszach patriotycznych czy społecznych. Tu tematem jest przysłowiowa z czasów przedwojennych dyskusja „główka kapusty”, tu podstawą wzruszenia może być tylko dobra robota poetycka.

Cykl wierszy partyzanckich „Leśne oczy” jest ilościowo najbogatszy i najoryginalniejszy, chociażby ze względu na temat i on nadaje ton całemu tomikowi. Mało było poetów między partyzantami. A właściwie dotychczas jeden — właśnie Władysław Machajek. Machajek jest artystą. I to artystą bardzo wrażliwym i subtelnym, którego wiersze partyzanckie wzruszają tak samo wtedy, kiedy mówi o walce i śmierci, wojnie i bohaterstwie, jak wtedy, kiedy stwarza wizję leśnego czy polnego pejzażu, dla dziejących się zdarzeń. To tło, ten polski, znajomy pejzaż nie jest właśnie tłem, tylko właściwym tematem — bo w nowoczesnym wierszu nie może być obojętnego tła — i Władysław Machajek, stosując się do tej i wielu innych zasad nowej poetyki jest najzupełniej nowoczesnym poetą.

Wzruszający miłością synowską wiersz „Czy wiosna?” ma wyraźne filiacje z poezją Juliana Przybosa, a równocześnie przedstawia się jako typowy, według zaleceń Tadeusza Peipera rymowany co cztery wiersze poemat awangardowy. Obrazowanie jednak jest charakterystyczne dla poetów autentystów, którzy elipsy używają nie tak często i mniej radykalnie. Formalnie Władysław Machajek należy do pokolenia najmłodszych poetów, którzy w pracy nad własnym stylem przechodzą równocześnie drogę już przebytą przez swoich nauczycieli, dochodzą do już osiągniętych celów szybko i pewnie — ale narazie nie sięgają jeszcze po nowe zdobycze wersyfikacyjne.

Nr 11 „Wiś” zawierał: Jan Szczepański: O nowym chłopkim bohaterze — Józef Andrzej Frąsik: Planowy odjazd — Krzyże kielecczyzny, Różan: Listy nauczyciela z konspiracji — Stanisław Wójcik: Ojczyzno moja — Jan Pleśniński: Na tufalce w ciemnych borach — Stanisław Bojarczuk: Do hołoty — Leon Pokora: Lud mój, Nasza wolność — Irena Piecówna: Przyjście, Piosenka dziewczęcia — Witold Zalewski: Polska droga — Paweł Kubisz: Rebella goroli w Mostach — Zygmunt Kałużyński: Ruchy chłopskie w XVIII wieku w Polsce — Dr doc. U.J. Szytkowski: Maciej Szarek — nestor pisarzy i działaczy chłopskich — Maciej Szarek: Pamiętnik chłopca — Stanisław Skoneczny: Pamięci przyjaciela, Obława — Wiesław Jazdyński: W partyzantce nie jest źle — Stefan Lichański: Poeta-żołnierz oraz kroniki i komunikaty.

Władysław Machajek

OCZY ZADRZA

Zapaliły się pąki róż na czerwono

i jakby drażniły nagłym przypływem krwi, czworobok szarych chałup wstał.

Wiatr się wzdął w piersiach. Buchnął. Wionął.

Noc — —

Tusz brwi

jak żandarm na dworskich polach drżał.

tytanami naciskał w rzęgot,

rzęgotały erkaemy,

waliły pepesze

opodal.

Krzyś partyzant wyrok, nim w gwiazdy poniesie, i ziemię poda.

(Słucham:

naprzeciw dwór brunatną Polskę karmi

bezzęsa linią blaszanych oczu,

niebieskawym szturmem żandarmów).

Wymierzy chłop działał w lesie,

wymierzy spodłona jucha.

Jaskrawy ptak wieców nie pomógł,

pomoga

pepesze.

Sierpień, 1944

Władysław Machajek

ZIEMIA WSCHODZI

Długo spałem. Aż stuknęła we mnie struga ziarna, obkukała moje narodziny. Jeszcze paruje, jeszcze wola — —

Czym jesteś? Mam żyły czarne i ty we mnie rośniesz czarna

plotką, dziewięciornikiem, jagodą jemiół — —

Dziś okrywasz się głogiem kolczastym i blizną i za lada szelestem:

— Ojczyzno moja, Ojczyzno,

jestem!

Siebie oddam na afisz ma chłopka ojczyzno,

mój wiersz na gońca.

Niech na tłustych brukach szumią oracyzny,

ekspłoduje światłość słońca.

Jestem w noc i dzień. Szamocę się w więzach

oddechem w zielonej runi.

Jestem w ranach, koledzie i pieśni.

Już słyszę, jak mówi brauning,

gdy manifestem w dłoni się rozwieśni.

1938

Piotr Ziarnik

Przed burzą

Na polach stały armie kopic nieruchome —
żołnierze na stanowiskach. Pomyślałbyś: pułkami;
Łatałomani ciągną w tylarierach, rojach atak na
zwąty wzgórz ukoronowane ciemną zielenią zagaj-
ników na szczytach.

Pojedyńcze grupy czołowe przypadły na po-
zycjach tuż u przedgórza — na ostatniej płaszczyz-
nie ściernisk.

Napięta chwila przedwieczornej, parnej ciszy de-
nerwowała nadbiegający moment rozkazu.

Nagle — przeciągnięta do konwulsyjnego wy-
żu nudy rozpadła się, rozbita serją dźwiękliwego
terkotu: osetka na ostrzu kosy zagrała stłumiony
daleki sygnał.

Zgrzytliwy, rytmiczny głos chrapliwego mar-
szu szedł za nią nisko twardymi susami.

Obudziły się te głosy w wielu miejscach za-
plecza i bliżej — w centrum pozycji. Za chwilę
pojedynczo wybiły się zgrzytliwe tuż za czołówką.

Ciemniejące niebo zachodu rozwarło się u do-
łu wąską błyskawicą; artyleria ziewnęła przecią-
gle — potoczyście. Huk zakolebał się i rozbił na
drobne, ścichające pomruki w wąwozach oblega-
nych wzgórz.

Na polnej drodze zaterkotał jazgot strzałów: —
wstęga nierównych trzasków: wóz ześlizgiwał po
szprychach i obręczach suche detonacje.

Baterje na tyłach błyskały węzami ognia
i grzmiały zbliżającą się kanonadę.

Nagle tuman wiatru hucznym spadem uciszył
wszystko wokół.

Szum płał się górą początkowo, a potem spadł
nisko — między pozycje: na kopce i mendle. Po-
derwał tumany szalu i powichrzył je.

Załopał porwanymi garściami żyta, Wyniosł
je wysoko i wiał kłóstanymi sztandarami.

Atak rozszalał.

1944 r.

Z dziennika podróży
na Dolny Śląsk

22/IX.

We Wrocławiu widać wiele osiadłej już polskiej
ludności, widać i Niemców z białymi opaskami na
ramionach.

Co chwila do naszego auta podchodzi jakieś nie-
mieckie dziecko z prośbą o chleb. Ileż współczu-
cia wzbudzałoby w człowieku, który nie widział
zmarzniętych na śmierć trupów dzieci lubelskich
czy warszawskich? Ale właśnie przechodzi polska
wiejska kobieta z bańką mleka na plecach. Krzy-
cze radośnie: „Niech będzie pochwalony Jezus
Chryśtus”. Odwraca się: „Na wieki wieków
amen”.

„Skąd pani jest?”

„Z pode Lwowa”.

„Jak dawno tutaj?”

„8 tygodni”.

„Na gospodarce?”

„Tak, w pięć rodzin mamy 400 morgów, tylko nie
możemy dać rady obrobić!”

Nareszcie nasz chłop ma ziemi do syia i na-
reszcie przekona się sam, że nie można jej mieć
więcej, niż się da radę obrobić własnymi siłami.

Wyruszamy dalej do Lignicy. Jedziemy teraz
wspaniałą autostradą Wrocław-Berlin. Krajobraz
ciągle nizinny. Pogoda poprawia się nieco. Oto-
czenie zaczyna nabierać barw. Krajobraz zaczyna
mnie czymś niepokoić. Przez dłuższy czas nie mo-
gę sobie uświadomić źródła niepokoju. Wreszcie
je odkrywam. Oto gdzieś tam lany pszenicy
i żyta stoją na pniu. Bardzo spłowiłe od słońca
i powalone. Gdzieś tam przecina je czerń. Nie
jest to jednakże czerń podorywki, tylko pole na-
siennej koniczyny. Zaczynam się bacznie wpatry-
wać w mijane pola. Na szczęście widzę coraz wię-
cej ściernisk i podorywek.

Raz po raz przejeżdżamy pod żelbetonowym mo-
stem przesłizniętej lekkiej konstrukcji. Oddycha się
bardzo swobodnie. Nagle wyczuwam prawie nie-
widzialny maszynowy górski — to Góry Olbrzymie.
Nikną one szybko, ale nastroją nas dobrze na przy-
szłość. Dojeżdżamy do Lignicy.

23/IX

Po południu jedziemy z pełnomocnikiem Samo-
pomocy Chłopskiej do naszych osadników. Wsie
tutejsze nie różnią się prawie niczym od podmie-
skich dzielnic willowych. Obok szosy biegnie
wąska polna droga — jest również asfaltowana.
W każdym budynku woda i elektryczność. W oko-
licy, przez którą przejeżdżamy, ziemia jest pszenno-
buraczana o pięknej gruzelkowej strukturze. Mi-
mo doraźnego zaniedbania, zachwaszczenie niskie.
Dojeżdżamy do wsi Kunice, położonej nad pięknym
jeziorem. Oni idą do gminy, ja prosto na
wieś.

Jak zwykle w pogodne niedzielne popołudnie,
przed domami stoją kobiety z dziećmi. Patrzą na
nie pytająco i ostrożnie, a one na mnie. Po tych
pytających spojrzeniach poznajemy się. Zaczyna-
my się wzajemnie ścisnąć i całować. Są z tarno-
polskiego i ze stanisławowskiego. Wołają mężów.
Zbiera się na środku drogi spora gromadka. Tu
i ówdzie z okien przyglądają się nam zaniepokoi-
eni Niemcy. Rozmawiamy gorączkowo. Ludzie ci
mają wielkie trudności, które znam i odczuwam
bardzo dokładnie. Wysoki chłop ze stanisławow-
skiego chwytą mnie za ramię i woła przeciągłym
głosem: „Pani, tak nie można, my przeciw ludzi”.
Niektórzy zacinają się łkaniem. Mówią spokojnie
i głośno:

„Ludzie, w tych dniach w Rzeszy, w miejscowości
Paderborn, Anglicy skazali kilkudziesięciu
Polaków na śmierć i dożywotnie więzienie za za-
bójstwo Niemców”. — Odpowiedzią jest ogólny jęk.

„Ten nasz redaktor z Lignicy nie chce nawet
o tym pisać w gazecie, bo mu wstyd przed Niem-
cami” — kiwają głowami potakująco.

„My Polacy musimy pamiętać, że sprawiedliwość
jest tylko dla silnych. Ludzie! Nie damy się! Mu-
simy tu założyć gminny Związek Samopomocy
Chłopskiej. Prezes z Lignicy właśnie przyjechał.
Pamiętajcie, za rok cała Polska nam będzie za-
drościła!”

Nie mogę nadszyc za pytaniami, idziemy do
gminy. My przyjeźdni wsiadamy z powrotem do
auta, a tam w gminie już się zakłada Spółdzielnia
Samopomocy Chłopskiej. Wychylam się z auta
i krzyczę: „A jak się już sami zorganizujecie, mu-
sicie organizować sąsiednie wsie!” Potakują skwa-
pliwie.

ZOFIA PRZĘCZEK.

